

LEENA KROHN

TAINARON

LISTY Z INNEGO MIASTA

Z fińskiego przełożył
Sebastian Musielak

2008

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Tainaron

Data wydania:

1985

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Przełożył:

Sebastian Musielak

Wydawca:

Świat Książki

Warszawa 2008

Bertelsmann Media sp. z o.o.,
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

ISBN 978-83-247-0467-5

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

*Nie tyś w przestrzeni,
ale przestrzeń w tobie*

Anioł Ślęzak

*Eliasowi,
J.H. Fabre'owi
oraz
Królowej Trzmieli
i całemu jej domowi*

Łąka i miodowskaz

List pierwszy

Jakże mogłabym zapomnieć wiosnę, kiedy to chodziliśmy na spacer do ogrodu botanicznego uniwersytetu, skoro i tu, w Tainaronie, jest podobny park, ogromny i bardzo zadbany. Gdybyś go zobaczył, mocno byś się zdziwił, mają tu bowiem wiele roślin zupełnie nam nieznanych. Jeden z gatunków kwitnie nawet pod ziemią.

Ale ja najbardziej lubię ogrodową łąkę, na której rosną wyłącznie dzikie kwiaty: chabry, osty, miesięcznice, przetaczniki.

Myliłbyś się jednak, biorąc je za zwyczajne kwiaty łąkowe. Nie, to jakieś nienaturalnie wyrosnięte hybrydy. Wiele chabrów dorasta do wysokości człowieka, a ich korony są szerokie jak twarz; widziałam też kwiaty, w które można było wchodzić jak do wnętrza rozświetlonego słońcem pawilonu.

Lubię sobie wyobrazić, że zabiorę Cię tam kiedyś i pójdziemy pod osty. Ich cudowne koszyczki otaczają pierzaste siatki, falujące wysoko niczym korony drzew przy nabrzeżnym bulwarze.

Spodobałby Ci się spacer po łące tainarońskim latem, kiedy można zaglądać w kwiaty jak w ludzkie twarze. Są wtedy otwarte niczym tarcza Słońca i hieroglify miodowskazów mają klarowne i czyste. Patrzymy na nie, a one spoglądają w słońce, do którego tak bardzo są podobne.

Patrząc na nie w ciepłe południe, trudno uwierzyć – jak wówczas, gdy się zagląda w twarze dzieci – że barwa i światło, z których powstały, są substancją, i że kiedyś, wkrótce, jeszcze tego wieczoru, ich blask zgaśnie, by już nigdy nie wrócić.

Na łące sporo się dzieje – to scena frenetycznego spektaklu i pole bitwy zarazem. Lecz wszystko służy jednemu tylko celowi: nieśmiertelności. Owady, które zaspokajają tam swoje zachcianki, nie wiedzą, że w istocie spełniają ukrytą wolę kwiatów, te zaś nie pojmują, iż dają owadom – swoim niewolnikom – nie tylko zajęcie, ale i życie. Tak więc na łące egoizm jednostki służy szczęściu ogółu.

Jednak nie tylko zwyczajne bzygi i trzmiele szukają przyjemności na łące ogrodu

botanicznego. Przybywają tam także w wolnych chwilach mieszkańcy miasta, by spędzać czas w sposób, który nam musi się wydać zupełnie niepojęty.

– Admirale! Admirale! – usłyszałam pełen radości okrzyk Kwiatomira, gdy w pewne święto spacerowaliśmy parkowymi ścieżkami.

Wyrzałam z gęstwy łądyg – niektóre były grube niczym pnie młodych brzoź – ale nie mogłam dostrzec, kogo Kwiatomir wołał, dopóki nie wskazał na koronę kwiatu przypominającego storczyk. Na jego jaskrawoczerwonej, lekko nakrapianej wardze siedział – a raczej podskakiwał w miejscu – bardzo niespokojny, ale szczęśliwy osobnik.

Tainaronianin zamachał na Kwiatomira wszystkimi kończynami i podniecony zapiszczał:

– Tędy, szanowni państwo, proszę się nie krępować!

Muszę przyznać, że jego zachowanie zupełnie zbiło mnie z tropu: ani na chwilę nie przerywał tego rozedrganego tańca, skacząc z płatka na płatek i od czasu do czasu pocierając o niego odwołkiem. Wtem bezwładnie osunął się na brzuch i zaczął pożądliwie skubać delikatny meszek otaczający wargę kwiatu. Byliśmy przecież w miejscu publicznym, więc odwróciłam wzrok od rozpustnika.

Ale Kwiatomir, spojrzawszy na mnie, uśmiechał się, co jeszcze bardziej mnie rozgniewało.

– Ależ z ciebie purytanka! – odezwał się. – Osądzasz najniewinniejsze i najtańsze rozrywki, na jakie samotni mogą sobie w weekend pozwolić? Pieszczą kwiaty, które w zamian ich upajają, przechodzą z jednego na drugi, zapylając je; czyż nie przynosi to szczęścia całej łące i całemu miastu?

Wtedy to znajomy Kwiatomira poruszył się na szerokiej, zmysłowo zaokrąglonej wardze storczyka, która zaczęła się pod jego ciężarem uginać i chwiać, i obrócił się w naszą stronę. Zobaczyłam wówczas, że cały jest w plamach kleistego pyłku i – gdy osłaniając oczy przed słońcem, uniosłam wzrok – z jego długiej, niespokojnej ssawki kapnęła mi na podbródek słodka kropla. Nie było to nieprzyjemne, tylko przypomniało mi pewną strofę, którą dawno temu przeczytałam.

Udobruchana, chciałam ją wyrecytować Kwiatomirowi, ale jego znajomy paplał bez przerwy.

– Moi mili przyjaciele – bąkał Admirał – takich miodników toście w życiu nie widzieli! Aaach, pójdźcie za mną, szybko, poprowadzę was...

I w tej chwili zniknął we wnętrzu gigantycznej korony, tak że widziałam już tylko jego tylną kończynę, która podrygiwała w głębi drżącej jamy.

– Nie – rzekłam dobitnie – ja tam nie wejdem!

– No dobrze – powiedział Kwiatomir pojednawczo. – Pójdźmy zatem dalej. Może przedstawię was sobie innym razem. Wobec tego sprawdźmy, czy zakwitła już tawlina.

Kiedy przechodziliśmy pod kwiatami, czułam ich wolę i pragnienie, czułam, że całe to majestatyczne widowisko, cała ich ponętna powierzchowność jest jedynie katapultą nasienia.

I nie mogłam oprzeć się pokusie, by wygłosić strofę, którą przed chwilą mi przypomniał niepoprawny Admirał:

*Bo czymże innym są słupki i pręciki,
i aureole płatków, jeśli
nie sercem kwiatu i cienistą zładą,
kryjącą w sobie najskrytszy jego płomień!*

Kwiatomir słuchał roztargniony, w końcu mi przerwał.

– Nie słyszysz?

W istocie, zdawało mi się, że z południa, z drugiej strony łąki, do moich uszu dociera rozpaczliwe łkanie. A więc temu przysłuchiwał się Kwiatomir, kiedy ja recytowałam wiersz.

Natychmiast ruszyliśmy w tamtym kierunku i już po chwili usłyszeliśmy zatrwożone sapanie:

– Tutaj jestem, tutaj!

I znów dostrzeżliśmy kwiat wielkości pokoju, tym razem o barwie ultramaryny; szamotał się w nim niepozorny samczyk, który najwyraźniej nie mógł się oderwać od lejkowatego pylnika.

– No oczywiście – prychnął nadaşany Kwiatomir. – Tego się właśnie spodziewałem. To ciemiężyk, kwiat-pułapka. – Zwrócił się do uwięzionego: – Nie jest pan pierwszy, któremu się to przytrafiło.

Wdrapał się zwinnie na lśniąca błękitem koronę, chwytając się pachwin liści, i bez ceregieli energicznie uchwycił ofiarę pod pachami.

– Iii... hop!

W tej chwili dał się słyszeć ni to syk, ni trzask dartego jedwabiu, korona grzmotnęła o ziemię i obaj: Kwiatomir i ofiara kwiatu, pokoziołkowali w trawę.

Nim jednak podeszłam do złamanej rośliny, zdążyli już wstać; otrzepywali się z pyłku, który skrzył się w powietrzu niczym lśniący opar.

– Ależ, pan kuleje – zauważył surowo Kwiatomir, patrząc na delikatną istotę, którą właśnie wybawił z opresji.

– Błahostka – odpowiedział nieszczęśnik, spoglądając z ukosa na urwany kwiat, jakby się bał, że może się jeszcze na niego rzucić. – Wpadłem niczym w sidła.

– Niech pan nie ufa kwiatom – poradził mu Kwiatomir. – Następnym razem proszę się dobrze zastanowić, zanim wetknie pan do czegoś takiego głowę.

Nie sądzę, by rozmówca, wyrwany ciemiężykowi, chciał jeszcze kiedyś wrócić na łąkę. Zapomniawszy podziękować, kuśtykał już daleko, przemykając pod innymi, nie mniej podstępными stworzeniami. Kwiatomir ujął mnie pod ramię; byłam mu za to wdzięczna, gdyż w istocie czułam, że potrzeba mi wsparcia, jakbym to ja zaznała niewoli kwiatu.

Pograżyłam się w myślach; łąka wokół nas szumiała, a jej zapachy zaczęły odbierać nam siły. Szliśmy pod obłokami tawliny – rzeczywiście były już w pełni rozkwitu – ale w tamtej chwili wolałabym raczej spacerować po normalnym, twardym i pewnym bruku.

Co rusz jednak wyrastały przede mną nowe, świetliste wiry, obce i niepojęte w swym milczeniu. Widziałam jedwabiste refleksy kwiatów, ich skrzydła i łódeczki, widziałam ich ciemny meszek, purpurowy poblask i nasiona, które wiatr wyrywał z ciasnych torebek. Och, jedno z nich, wielkie niczym pocisk, trafiło mnie w policzek i poczułam ból; inne otwierały się z głośnym trzaskiem, aż podskakiwałam ze strachu. Słyszałam głuche tąpnięcia, gdy niełupki spadały z otwartych szypułek; nogi mi grzęzły w żółtych ostrogach i nabrzmiąłych wargach jak w siarkowych hałdach. W szyję łaskotały mnie włochate szpice podkwiatków, kępki meszku i szczeciny; w źrenicę, zwężoną do granic możliwości, wbijał się palący klin kolorów, a do nozdrzy, ust i uszu cisnęły się krzyki miodowskazów i tysiące bezwstydných zapachów.

– Nie, nie znamy ich – odezwałam się do Kwiatomira, który milcząc, przekrzywił głowę.

Na ziemię, która skrywała wszystkie korzenie, zaczął spływać chłód nadchodzącego wieczoru. Słońce mocno jeszcze grzało, gdy wielkie twarze zaczęły się już zamykać; nie miałam żadnych wątpliwości i nie pytałam o nic. Lecz kiedy ku niebu podniósł się pierwszy błąd zwiastun zmarnienia i obróciliśmy się w stronę miasta, wiedziałam na pewno tylko to, że teraz jestem tak samo zagubiona, jak wcześniej.

Szum koliska

List drugi

W nocy obudziły mnie brzęki i stuki. Wiesz pewnie, że Tainaron leży w pasie wulkanicznym. Uczeni twierdzą, że weszliśmy już w okres, w którym należy się spodziewać wielkiego wstrząsu o skutkach katastrofalnych, mogących oznaczać zagładę całego miasta.

I cóż z tego? Nie myśl, że ma to jakikolwiek wpływ na życie tainaronian. Nocnych wstrząsów nikt nie pamięta. I kiedy rano, w jasnym świetle dnia idę przez targ – w ten sposób często skracam sobie drogę – z odkrytych koszy z owocami unosi się nektarowy opar, a chodnik pod stopami znów jest taki, jakby miał trwać wiecznie.

Wieczorem zaś na tle burzowej chmury widzę olbrzymie kolisko pionowej karuzeli. Jego zarys, oś i ramiona oznakowano tysiącami rozświetlonych gwiazdek. Koło karuzeli, kolo fortuny... Czasem mój wzrok podąża za jego obrotem i wtedy aż do zaśnięcia mam wrażenie, że słyszę ciągły szum, który jest głosem samego Tainaronu.

Nie wierzę, bym widziała gdziekolwiek, w jednym miejscu naraz, tyle epok i bóstw, ile widzę tutaj. Gdzie jeszcze poza Tainaronem oko uchwyci jednym spojrzeniem niknące w chmurach wieże katedr, kapiące złotem kopuły minaretów i jasne główce doryckich świątyń? Tutaj wznoszą się jedna przy drugiej, a zarazem jednak każda stoi samotnie.

Ale wiele tutejszych budynków charakteryzuje jakaś komiczna niemal dysproporcja, która przywodzi na myśl kulisy w teatrze. Skąd się bierze to wrażenie? Bogactwo ornamentyki na fryzach pałacu najwyższej sprawiedliwości graniczy ze śmiesznością, a na budynku izby handlowej brakuje istotnych elementów, balustrad i okapów. I niekiedy, gdy już jestem zmęczona spacerem, od tych ciasnych ulic i skrzyżowań zaczyna mi się kręcić w głowie, bo gdy wieje wiatr, wysokie domy zdają się chybotać i ruszać...

Wczoraj przechadzałam się pod kunsztownymi arkadami, które jaśniały przestrzenią, stapałam po kamieniach układanych ręką mistrza, pieściłam wzrokiem sprężyste kolumny i błyszczące mozaiki we wnękach okien. Korytarz się skończył, przeszłam przez plac i... poczułam się tak, jakby mnie kto spoliczkował. Przede mną paradowała betonowa ściana na słoniowych nogach, bezduszna, mroczna wariacja kolumnady, którą przed chwilą

podziwiałam, obraźliwa i przygniatająca. Ale i to jest Tainaron, podobnie jak fragment prastarego, kamiennego muru na wschodnich obrzeżach miasta, w którego załomach gnieźdzą się brzegówki.

Czy wiesz, że nieraz się wzdragam, kiedy z tłumu wyłania się tuż przede mną rozkołysana, ryjowata twarz, pod którą falują giętkie bicze czulek, albo gdy w kawiarni do mojego stolika zbliża się kelner i wysuwa szczękę niczym larwa ważki? A wczoraj w tramwaju obok mnie usiadła istota w kształcie liścia, która wydawała się tak lekka, że gdybym dmuchnęła, poszybowałaby w górę jak uschnięte źdźbło.

Spotkałam też tainaronianina, który produkuje specjalną nić na potrzeby całego miasta. Jest tak cienka, tak trwała i elastyczna, że nie mogłaby się z nią równać żadna nić przemysłowa. Stworzenie to wydziela z odwłoku do stu pięćdziesięciu metrów nici na dobę. Masa tego roziskrzonego, cieńszego od włosa włókna jest znacznie niższa od jednego deniera. Gdy badałam ją w oknie, padł na nią promień słońca i nić rozjarzyła się refleksami wszystkich kolorów.

Marzy mi się szata utkana wyłącznie z takiej właśnie materii; nie potrafię sobie wyobrazić niczego lżejszego, piękniejszego i bardziej uroczystego.

Ale to dziecinne marzenie. Nigdy takiej szaty mieć nie będę. Włókno to bowiem jest tak lekkie, że szata pokryłaby moje ciało żrącą błoną.

Do czego zatem używa się tej nici? Nie pytaj mnie o to, nie wiem i nawet nie chcę wiedzieć.

Blask

List trzeci

I znowu wieczór zapala swe światła; woda, oczy i okna mienią się od niezliczonych refleksów. Jak wiesz, są istoty, które rozświetlają otoczenie blaskiem swych narządów lub kończyn: sprężyki w ogrodach południa, świetliki na źdźbłach trawy i mieszkańcy fos, którzy noszą lampy na monstrualnych czołach. Zimniejszy jest już tylko rozmyty kontur zmurszałego wykrotu, porośniętego opieńkami...

Ale i tu, w Tainaronie, są istoty, które wieczorem przyciągają mój wzrok, ponieważ wydzielają cienki świetlisty welon i czasem w chwilach podniecenia migoczą skrzącym blaskiem. Patrzą na nie z zachwytem, gdy przemykają obok mnie na ulicy – zawsze w pośpiechu – krokiem nieomal tanecznym. Opuszczają mieszkania dopiero pod wieczór i nie mam pojęcia, co robią do tego czasu przez cały długi dzień. Może po prostu śpią.

Nie widziałam takiej istoty samej; poruszają się chmurami, a na rynkach i placach łączą się ze sobą, tworząc nieregularne układy swoistego tańca figurowego. Jednak gdy pada albo wieje, gasną jak świece i chowają się gdzieś po kątach. Nie służą im kłopoty ani surowy klimat, podobnie jak ciężka praca i wszelkie nagłe zmiany. Zawsze, gdy je widzę, przychodzi mi na myśl zabawa i bliska chwila wielkiej przyjemności. Sprawiają wrażenie bardzo radosnych i beztrudnych; ich różowawe i żółtawe światło byłoby ozdobą każdej sali balowej.

W centrum miasta są schody, przy których tainaronianie umawiają się na wieczorne spotkania albo przystają, aby tylko na siebie popatrzeć. Najbardziej kolorowi, najbardziej osobliwi, najbardziej elegancy, najbogatsi i najżałośniejsi spotykają się właśnie na tych szerokich, wypolerowanych przez stulecia stopniach. Widzi się tam także świetliki – czyż nie jest to stosowna nazwa dla tych małych świecidełek? – gdy zapadnie zmrok, jeśli na dworze jest ciepło i bezwietrznie.

Kiedy na nie patrzę, ogarnia mnie tęsknota; nigdy jednak nie próbowałam się do nich zbliżyć. Nie przypuszczam, by mówiły którymkolwiek z urzędowych języków tego miasta; nie wiem nawet, czy w ogóle mówią. Są zwiewne i lekkie jak puch, piękne jak pierwsza, nigdy nieprzeżyta młodość.

Ostatnio wiele wieczorów spędzam przy schodach tylko po to, by nacieszyć się blaskiem światełek. Nie dostrzegają mnie, ale kiedy idą – płasają! – mijając mnie, żebraków i pania królowej, rozsiewają wokół siebie aurę nadziei i tchnienie wiosny tak orzeźwiającej, jakby nigdy nic się nie skończyło.

Muszę jeszcze dodać, że wczoraj rano, przechodząc przez rynek, dostrzegłam w rynsztoku zabrudzony łachman i kilka postaci, które pochylały się nad nim ze współczuciem. Przeszłam obok nich, lecz na rogu bocznej ulicy, w którą skręcałam, obejrzałam się i zobaczyłam, że podnoszą ów łachman i gdzieś niosą. Dopiero wtedy pojęłam, że widziałam w rynsztoku światełko, tym razem zupełnie samotnego. Nie roztaczał wokół siebie nawet bladej poświaty, był to już tylko niewielki strzęp ciemnej masy. Iskra radości, zorza życia zgasła. Wszędzie i zawsze, gdy jestem świadkiem jej rozproszenia, ómi oczy dotkliwy ból, który zdaje się wieczny, i mnie również odbiera jeden dzień życia.

Ale tego wieczoru światełki znów wyległy na miasto niczym nieprzebrane stada ptaków na wiosnę, radosne i lśniące jak jeszcze nigdy przedtem.

Łza ich matki

List czwarty

Na jednym z przedmieść Tainaronu stoją dziwne budowle. Kielichowate, przypominają nieco bardzo wąskie i wysokie kupki popiołu, ale ich różowawe ściany są twarde jak beton. Zamieszkuje je nieogarniona masa istot niewielkich, lecz bardzo pracowitych, które ani na chwilę nie ustają w ruchu. Są tak do siebie podobne, że pewnie nigdy nie nauczyłabym się ich rozpoznawać. Z jednym wyjątkiem.

Już dawno temu podpytywałam Kwiatomira, czy mógłby mnie kiedyś wprowadzić do którejś z tych budowli.

– Dlaczego cię one interesują? – zapytał.

– Mają bardzo specyficzną architekturę – odpowiedziałam. – Czy znasz tam kogoś? Może mogłabym kiedyś przy okazji wybrać się tam z tobą?

– Skoro tego chcesz – zgodził się Kwiatomir, choć chyba nie był tym pomysłem szczególnie zachwycony.

Wczoraj w końcu zaprowadził mnie tam. U wejścia jednego z budynków stał strażnik, z którym zamienił kilka słów i który od tej pory był moim przewodnikiem.

– Spotkamy się wieczorem! – krzyknął Kwiatomir, po czym rozpląnął się w barwnej cizbie tainaronian.

Prowadzono mnie przez mroczne, kręte korytarze, które otwierały się na duże i małe hole, na składnice i pomieszczenia mieszkalne. Wokół panował ożywiony ruch; zdawało się, że wszystkim bardzo się spieszy do ważnych, niedokończonych spraw. Wreszcie doszłam do pomieszczenia w samym sercu budowli; u wejścia stało kilku wartowników. Sala nie miała okien i choć nigdzie nie dostrzegłam źródła światła, panowała w niej jasność zgoła nieznośna.

Miałam oczywiście świadomość, że w sali przebywa więcej osób, lecz widziałam tylko tę jedną. Była nieporównywalnie potężniejsza od wszystkich pozostałych, monumentalna już przez to tylko, że trwała w jednej pozycji w tak niezwykajnym tam bezruchu. Rozmiary miała niesamowite: jajowata głowa sięgała sklepienia, a wpółleżący korpus wypełniał całą salę od progu aż po jej głęboki kraniec. Gdy weszłam do środka i stanęłam pod ścianą (innej

możliwości w zasadzie nie było), z ust tej istoty wydobył się skrzek, który uznałam za powitanie.

– Proszę okazać królowej szacunek! – syknął eskortujący mnie wartownik i sam przyklęknął. Nieprzyzwyczajona do podobnych gestów, czułam się zażenowana, poszłam jednak w jego ślady.

Przez pewien czas nie zwrócono na mnie żadnej uwagi. Wokół królowej pod ścianami sali krzątały się istoty, których zadanie polegało pewnie na wszechstronnym zaspokajaniu jej potrzeb. Niezbędność tych istot szybko stała się dla mnie oczywista, królowa bowiem była tak niekształtna, iż sama nie dałaby rady zrobić nawet kroku. Poza tym stwierdziłam, że w żaden sposób nie precisnęłaby się przez otwór wejściowy; musi żyć i umrzeć w tych czterech ścianach, i nie zobaczy nigdy, choćby przez krótką chwilę, skrawka słońca. Sytuacja królowej wydała mi się przerażająca i najchętniej opuściłabym już jej rozświetloną jaskinię.

Wzdrygnęłam się, słysząc skrzekliwy głos. Zauważyłam, że królowa przekreśliła nieco głowę i wpatruje się we mnie zamglonym, łagodnym wzrokiem, ssąc mlekopodobną ciecz z pucharu, który trzymano pod jej małym podbródkiem.

Słomka wysunęła się z jej ust i wydobywały się z nich kolejne zgrzyty. Z trudem udało mi się z nich złożyć następujące słowa:

– Dobrze wiem, co pani sobie o mnie myśli. Taka mimoza!

– Co proszę? – wyjąkałam i poczułam, że robię się gorąca ze złości.

– A co, może nie uważa mnie pani za jednostkę, za jakąś osobę? Proszę przyznać!

Teraz jej głos stał się niższy, przypominał brzęczenie. Był to dźwięk niezwykle, zdawało się bowiem, że składają się nań setki szemrzących głosów.

– Cóż, tak, bo ja... – Przez chwilę byłam zupełnie zbita z tropu; przysiadłam na ziemi, bo pozycja klęcząca stawała się dla mnie zbyt męcząca. – Tak jest, oczywiście – przyznałam szybko, nic nie rozumiejąc.

– A nie mówiłam? – skwitowała i wybuchnęła śmiechem, który to grzmiał, to znów dźwięczał we wszystkich korytarzach, był przy tym tak zaraźliwy, że miałam wrażenie, iż przyłączyli się do niego wszyscy mieszkańcy i oto cały gmach natrzęsa się teraz z mojej prostoty.

Nagle zapadła absolutna cisza, po czym królowa się odezwała, wskazując na mnie swoją długą słomką:

– Proszę zatem powiedzieć, kim jestem!

Nim zdążyłam zastanowić się nad odpowiedzią, dojrzałam wreszcie, co się dzieje w tylnej części sali, którą wypełniał olbrzymi odwłok królowej. Co prawda przez cały czas miałam świadomość, że bezustannie coś się tam dzieje, jednak właśnie w tej chwili doznałam olśnienia. Przechodzono już obok mnie z różnymi zawiniątkami, ale dopiero za trzecim czy czwartym razem przyjrzałam się im dokładnie i zobaczyłam: to były noworodki.

Królowa rodziła, rodziła bezustannie! I gdy tylko zdałam sobie z tego sprawę, zaczęłam

odnosić wrażenie, że z każdej strony docierają do mnie odgłosy młotków, komend i zgrzytających pił, a w powietrzu unosi się smród zaprawy murarskiej. Zrozumiałam, że w gmachu dobudowuje się ciągle nowe piętra, które sięgają coraz dalej w głąb powietrznego oceanu. Odgłosy budowniczych docierały nawet spod ziemi i oczami duszy dostrzegłam korytarze, które rozgałęziają się chciwie pod chodnikami miasta niczym rozrastające się z każdym dniem korzenie. Rój się powiększał, dom poszerzano. Miasto rosło.

– Jesteście matką ich wszystkich, królowo – odpowiedziałam pokornie.

– Ale czym jest matka?! – wrzasnęła; jej głos przeszedł nagle w przeszywający gwizd, a jedna z jej czulek świsnęła mi nad głową niczym bat.

Cofnęłam się pod samą ścianę, chociaż zdawałam sobie sprawę, że nie mogłaby podejść do mnie bliżej.

– Ta, z której wszystko wypływa, nie jest kimś – spomiędzy szerokich szczęk królowej wydobył się wężowy syk. Wpatrywałam się w nią urzeczona. – Przyszła mnie pani obejrzyć, proszę przyznać! – zagrzmiała głosem niższym, niż sięgały najśmielsze moje myśli. – Ale pani się rozczaruje! Już się pani rozczarowała! Proszę przyznać!

– Nie, bynajmniej! – zaprzeczyłam roztrzęsiona.

– Ale tutaj nie ma żadnej „mnie”, proszę się tylko rozejrzeć i zrozumieć! I tu, zwłaszcza tu, jest mnie mniej niż gdziekolwiek indziej. Pani sądzi, że wypełniam całe pomieszczenie. Myli się pani! I to grubo! Jestem bowiem wielką dziurą, która rodzi to miasto. Jestem drogą, którą każdy musi przebyć! Jestem słonym przestworem, z którego każdy podnosi się bezradny, wilgotny, pomarszczony...

Napominający głos królowej był niczym wielka, ciepła fala. Mówiąc, spojrzała obojętnie za siebie, na swój nieforemny, potężny odwłok, z którego wydobywano właśnie na światło lamp jej najmłodsze dziecko. Wszystkie rodziły się w milczeniu, jak umarli.

Wtedy dostrzegłam, że oczy jej wezbrały; przelewając się, coś trysnęło na podłogę i ściany i zmoczyło wszystkie moje rzeczy.

Już więcej na mnie nie spojrzała. Podniosłam się więc i wyszłam, mokra od łez królowej.

Cieżar

List piąty

Nie pisałam Ci, ale tu, w Tainaronie, mieszkam już pod drugim adresem. Z pierwszym miejscem wiązały się pewne niedogodności; były tak nieokreślone, że wcześniej je przemilczałam, a jednak do tego stopnia poważne, że zmusiły mnie do przeprowadzki.

Przez pierwsze tygodnie mieszkałam w północnej dzielnicy miasta, w kamienicy, która kiedyś była zapewne otynkowana i pomalowana na jasnozielono, ale później niszczała. Od ścian odpadły płyty tynku, zostawiając po sobie dziury, które przywodziły na myśl dawno niewidziane twarze i kształty. Mimo to z początku bardzo mi się podobały zarówno dom, jak i mieszkanie na pierwszym piętrze: pokój z małą kuchnią i oknem na spokojną, krótką ulicę.

Pewnej jednak nocy coś mnie obudziło. Była to może trzecia albo czwarta moja noc w Tainaronie. Wyrwały mnie ze snu hałasy dobiegające z mieszkania nade mną. Ktoś na górze przesuwał z miejsca na miejsce, tam i z powrotem, ciężki mebel – takie w każdym razie odniosłam wrażenie. Spojrzałam na zegarek, minęła pierwsza. Przez jakiś czas leżałam spokojnie i czekałam, aż rumor się skończy, lecz gdy te hałasy powtarzały się ciągle w kółko – zła i zmęczona wstałam z łóżka. Chciałam poszukać jakiegoś długiego przedmiotu i zastukać nim w sufit, ale nic nie znalazłam, nie miałam jeszcze wtedy w mieszkaniu nawet miotły.

Otwarłam drzwi na klatkę schodową i zaczęłam nasłuchiwać; byłam pewna, że obudziła się już cała kamienica. Lecz na klatce hałasy wydawały się znacznie słabsze i prócz mnie nikt się nimi nie zainteresował. Na pękniętej marmurowej ścianie w łagodnym świetle ulicznej latarni rysował się piękny ornament poręczy.

Położyłam się z powrotem do łóżka i wpatrywałam się w sufit. Zdawało mi się, że drży od ciężkich tąpnięć. Sądziłam, że leżę bardzo długo, że jest już prawie rano, gdy rumor urwał się nagle jak nożem uciął i wszystko zamarło jakby w połowie. Kiedy spojrzałam na zegarek, stwierdziłam, że rumor trwał niecałą godzinę.

Udając się na spoczynek następnego wieczoru, zdążyłam zapomnieć o całym zdarzeniu. Ale wyrwały mnie ze snu takie same hałasy jak zeszłej nocy i o tej samej porze. Próbowałam

zachować spokój i wzięłam do ręki książkę. Wertowałam kartki (był to atlas roślin, który dawno temu mi ofiarowałeś), ale z powodu tych bezustannych stuków nic nie rozumiałam. Wskazówka zegara ślimaczyła się niczym poruszana jakąś nocną siłą, lecz gdy wreszcie pokazała godzinę drugą – cisza powróciła tak raptownie, jak się wcześniej zaczęły hałasy.

Następnego dnia zobaczyłam moją sąsiadkę z góry w małym sklepiku po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko kamienicy. Była to krucha staruszka na zdumiewająco cienkich odnóżach, podpierająca się wysmukłą laską o pięknie uformowanej główce, która przedstawiała jakąś postać z dziobem i rogami. Staruszkę w sklepie dobrze znano i obsługiwano z najwyższą atencją. W pewnym momencie obróciła się w moją stronę i zapytała zaskakująco mocnym, melodyjnym głosem:

– No, i jak się pani u nas podoba?

Bynajmniej nie oczekiwałam, że będzie wiedzieć, kim jestem. Mój gospodarz raz tylko pokazał mi ją z okna, kiedy przyszedł podpisać z nim umowę.

– Ta starsza pani mieszka nad panią – zauważył zdawkowo i wtedy z perspektywy pierwszego piętra rzuciłam sąsiadce przelotne spojrzenie.

– Nazywam się Pumilio – powiedziała staruszka, a zatem i ja musiałam się przedstawić. Jestem jednak pewna, że nie udało mi się całkowicie zapanować nad grymasem podejrzenia, bo sąsiadka od razu zapytała:

– Czy już się pani przyzwyczaiła do nowego mieszkania?

Zadała mi to pytanie szybko i dziarsko, i zdawało mi się, że w jej spojrzeniu dostrzegam szczerą ciekawość, która nie ma żadnego związku z formalnością pytania.

Zawahałam się, ale w końcu udało mi się powiedzieć:

– Dziękuję, jest bardzo wygodne. Tylko nocą jakoś nie mogę zasnąć.

Złękłam się swojej śmiałości, ale spojrzałam na nią badawczo.

– Doprawdy? Kto by pomyślał, taka pani jeszcze młoda. Ja mam już swoje lata, a śpię wyśmienicie. Po prostu wyśmienicie! – powtórzyła, lustrując mnie szerokimi, nieporuszonymi źrenicami. W drzwiach sklepu odwróciła się jeszcze: – Tej nocy na pewno pani zaśnie.

I wykrzywiła w uśmiechu zamknięte usta.

Miałam nadzieję, że to była obietnica. Zasnęłam szybko i – że tak powiem – w dobrej wierze, lecz znowu zostałam wyrwana ze snu w taki sam sposób i o tej samej porze, jak w dwie poprzednie noce. Frustracja i wściekłość rozsadzały mi czaszkę, teraz jednak wsłuchiwałam się w dochodzące z góry odgłosy uważniej niż poprzednio. Staralam się wyłowić uchem zwłaszcza stuki laski pani Pumilio, byłam bowiem przekonana, że bez niej poruszałyby się z największym trudem, jeśli w ogóle. Lecz słyszałam jedynie głuche łomoty i odgłosy przesuwania i nawet w świetle lampki nocnej widziałam wyraźnie, że lampa podsufitowa – szklana kula – wolno chybotrze na przewodzie.

Wydało mi się wprost niewiarygodne, by pani Pumilio, osoba starsza, krucha i do tego

jeszcze niepełnosprawna, była zdolna do tak wielkiego wysiłku fizycznego, jakiego musiały wymagać ekscesy rozgrywające się noc w noc nad moją głową. Nade wszystko jednak zapytywałam samą siebie: Po co miałyby robić coś takiego? Co też miałyby ją zmuszać do przesuwania mebli w środku nocy?

Przyszły mi do głowy tylko dwa wyjaśnienia i oba pozostawały w pewnym związku z lękiem. Po pierwsze: pani Pumilio boi się czegoś tak panicznie, że co noc zastawia drzwi do swojego pokoju barykadą z najcięższych mebli. Czy było to prawdopodobne? Z pewnością nie, ponieważ w mieszkaniu nade mną suwano coś po podłodze we wszystkie możliwe strony, a poza tym rano – zauważ – kiedy fortyfikacje należałoby rozebrać, zawsze było cicho. Po drugie: pani Pumilio starała się wzbudzić we mnie lęk może dlatego, że z jakiegoś powodu chciała, bym się wyniosła.

Czwartej nocy, gdy się obudziłam – a otwarłam oczy kilkadziesiąt sekund przed powstaniem hałasu (i tym razem byłam już zupełnie pewna, że wszystko się powtórzy) – poczułam niesamowity strach. Jakby ów dławiący lęk, który w wyobrażeniach przypisywałam pani Pumilio (albo który ona chciała we mnie obudzić), tej nocy przeniósł się na mnie. Najbardziej odrażające w tym wszystkim było to, że hałasy zaczynały się dokładnie o tym samym czasie. Pamiętam, że wielokrotnie mówiłam sobie w duchu: „Przecież to nienormalne! Nienormalne!”.

Tym razem jednak nie wstałam z łóżka, gdyż czułam, że jakiegokolwiek kroki zmierzające do ich uciszenia przerastałyby moje siły. Za żadną cenę nie poszłabym na górę, nie zadzwoniła do mieszkania pani Pumilio ani nie zapytała, co to ma znaczyć i czy nie mogłaby robić tego, co robi – nieważne, co to jest – o jakiejś przyzwoitszej porze.

Dlaczego nie mogłam tego uczynić? Powiem Ci od razu: ponieważ w mojej głowie zakiełkowało podejrzenie, od którego trudno mi się było uwolnić. Przewidywałam bowiem, że gdybym rzeczywiście weszła na drugie piętro, rzeczywiście zadzwoniła do drzwi pani Pumilio i wypowiedziała słowa, które zamierzałam wypowiedzieć, spojrzalaby na mnie zamglonymi oczyma osoby właśnie wybudzonej z najgłębszego snu i nie potrafiłaby w ogóle, ale to w ogóle pojąć, o czym ja mówię i jakim prawem śmiem ją pozbawiać bezcennych chwil spoczynku.

I w gruncie rzeczy przede wszystkim dlatego ogarnęła mnie rozpacz i z tej racji właśnie nigdy nie podjęłam się wyjaśnienia źródła nocnych hałasów.

Od czasu do czasu widywałam panią Pumilio na naszej ulicy albo w małym sklepiku po drugiej stronie. Pozdrowiała mnie zawsze miłymi słowami, lecz nigdy nie próbowała nawiązać rozmowy. Jednak pewnego razu, gdy ją minęłam, odniosłam wrażenie, że się obejrzała, a w jej błękitnych, mozaikowych oczach błysnęło uczucie czy może myśl, której nie pojęłam. Lecz mogło być i tak, że spojrzała po prostu w bok, nawet o mnie nie myśląc.

W nocy czuwałam. I chcąc dodać sobie odwagi, powtarzałam w kółko: „Błahostka! Błahostka! Po prostu nie mogę w tej chwili zrozumieć, co się za tym kryje, ale jest to

niewątpliwie coś zwyczajnego i nieważnego. Jestem pewna, że gdybym się dowiedziała, co to jest, śmiałabym się, i to do łez”.

Ale łaskoty nad moją głową wracały co noc niczym niezwykle lokalna nawałnica; po skrzypiących deskach podłogi pchano i suwano coś, co było masywne, odporne i olbrzymie, coś tak pozbawionego kształtu, jak życie ludzkie. Wreszcie przyszła noc, gdy, wpatrując się w drżący sufit, poczułam, że grzmoty z drugiego piętra zaczęły rezonować także w fundamentach i piwnicach kamienicy, i wybiegłam na dwór, nim niebo i ziemia zdążyły mnie zmiążyć, i już nigdy tam nie wróciłam.

Siedemnasta wiosna

List szósty

W Tainaronie wiele rzeczy wygląda inaczej niż u nas. Pierwsze, co mi przychodzi na myśl, to oczy mieszkańców; niejednokrotnie są tak duże, że zajmują nawet jedną trzecią twarzy. Czy dzięki temu wzrok mają lepszy – nie wiem, uważam jednak, że w pewnej mierze postrzegają swoje otoczenie inaczej niż my. Ponadto ich narządy wzroku składają się z niepoliczonych pręcików i w świetle słońca soczewkowata powierzchnia oczu mieni się jak tęcza. Z początku byłam zakłopotana, gdy musiałam rozmawiać z takim osobnikiem, ponieważ nigdy nie miałam pewności, czy patrzy na mnie, czy obok. Już mi to teraz nie przeszkadza. Co prawda spotykam też istoty, które mają oczy małe jak punkciki, ale jest ich wiele, i znajdują się w różnych miejscach: na czole, końcówkach czułek, nawet na grzbiecie.

To samo dotyczy nóg, a często rąk, których tainaronianie mają czasem po kilka par, choć nie wydaje mi się, by z tej racji biegali szybciej od nas albo osiągali w życiu więcej niż my. Inna rzecz, że niektórzy mają pod brzuchem widełki skoczne i mogą się w razie potrzeby katapultować, przelatując w powietrzu nawet kilkadziesiąt metrów.

Rozchwiany las czułek i nogogłaszczek na ulicach w godzinach szczytu jest dla przybyszów widokiem osobliwym. Najtrudniej jednak przywyknąć do innego zjawiska, tak charakterystycznego dla życia zdecydowanej większości mieszkańców tego miasta. Chodzi o przeobrażenie, które – przynajmniej dla mnie – jest czymś tak kuriozalnym, że na samą myśl aż skręcam się w środku. Musisz bowiem wiedzieć, że tainaronianie mają co najmniej dwa żywoty, które mogą się między sobą krańcowo różnić, mimo że jeden wypływa z drugiego w sposób dla mnie niepojęty.

I my się zmieniamy, ale odbywa się to stopniowo. Jesteśmy przyzwyczajeni do pewnej trwałości i większość z nas zachowuje mniej lub bardziej stabilną osobowość. Tutaj jest inaczej. Nadal jest dla mnie zagadką, co naprawdę łączy dwa kolejne żywoty tutejszych mieszkańców. Jak osoba, która zmienia się tak całkowicie, może jeszcze twierdzić, że w jakimś sensie nadal pozostaje sobą? Co jej pozwala dalej żyć? Jakże może pamiętać?

Może Cię tu zaczepić ktoś zupełnie obcy; zagadnie Cię jak dobrego znajomego i zacznie wspominać jakiś niedawny wygląd, w którym rzekomo obaj braliście udział. Kiedy spytasz: „Kiedy to było?” – zaśmieje się i odpowie: „Gdy byłem inny”.

Być może jednak nigdy nie dojdiesz, z kim miałeś honor odbyć tę rozmowę, tainaronianie bowiem często zmieniają nie tylko rozmiary i wygląd zewnętrzny, lecz także tryb życia.

Są tu też i tacy, którzy całkowicie wycofują się z życia nawet na siedemnaście lat. Mieszkają w małych, maleńkich pokoikach, w zwykłych norach, nikogo nie widując, nigdzie nie wychodząc i ledwo co jedząc. Bez względu jednak na to, czy śpią, czy czuwają, przez cały czas przeobrażają się i odrzucają postać, którą wcześniej mieli.

Siedemnaście lat! I gdy wreszcie nadchodzi siedemnasta wiosna, wychodzą ze swoich pustelni w pełnym blasku dnia. A potem zaczyna się ich jedyne długie lato – na jesień bowiem umierają – kiedy nie robią nic innego, tylko w kółko się bawią. Co za życie! Rozumiesz coś podobnego?

Z drugiej strony jednak odczuwam pewną zazdrość: żeby tak móc się zawinąć w kokon, nie marząc o snach, wiedząc, że pewnego razu, na wiosnę, będzie się można pokazać światu w nowej postaci, odświeżonej i wolnej od tego, co było...

A teraz żegnaj! Głowa mi ciąży i mam wrażenie, że nadciąga burza. Myślę o powodach, dla których nie odpowiadasz. Może być ich wiele. Umarłeś? Przeprowadziłeś się? Miasto, w którym mieszkałeś, zniknęło z powierzchni ziemi? A czy mogę ufać poczcie Tainaronu? Kto wie, czy moje listy nie gniją gdzieś w gnijącym kącie jakiegoś podwórza. A może stoisz w progu swojego domu i obracasz mój list w dłoniach, po czym, nie otwierając, odkładasz go na bok, na coraz wyższą stertę gazet i reklam, która obrasta kurzem.

Ogień na górze

List siódmy

Za wzgórzem, na którym zbudowano wesołe miasteczko, wznosi się drugie, które sinieje już w perspektywie. Czasami o północy widzę, jak na jego szczycie wykwita płomień. Mały, lecz bardzo jasny punkt światła.

Z jaką przyjemnością kiedyś mu się przyglądałam. Myślałam wtedy o ognisku i gitarze, wspólnym posiłku i turystach, którzy, odpoczywając po trudach drogi, snują opowieści. Później jednak zaczęłam przypuszczać, że nie jest to takie zwyczajne ognisko, ale rodzaj latarni, płonie bowiem bardzo wysoko i widać je z daleka ze wszystkich stron, a najlepiej z rozciągającego się w dole Tainaronu.

Kilka dni temu wspomniałam Kwiatomirowi o ognisku na górze. Zapytałam, czy i on je zauważył, i od razu poczułam się zażenowana, gdyż po moim pytaniu jego twarz stała się nieprzystępna i surowa. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam takiej miny na jego spokojnej, odprężonej twarzy.

– Nie patrz tam, to nie dla twoich oczu! – rzucił. – W nów zaciągaj zasłony i kładź się do łóżka.

W nów... Kwiatomir miał rację. Ostatnio widziałam ogień prawie miesiąc temu i tamtej nocy rzeczywiście był nów. Cień Ziemi sięgał daleko i może dlatego ognisko wydawało mi się tak samotne i jasne. I czy od poprzedniego nie minęły w istocie dwa okrążenia Księżycy?

Mimo że Kwiatomir stał się nagle małomówny, ośmieliłam się jeszcze spytać:

– Powiedz, kto rozpala te ogniska?

– To nie są żadne ogniska – odpowiedział; jego głos nie był ani trochę łagodniejszy. – Nie dla uciechy je rozpalają i w ich popiołach nie piecze się bulw.

– A zatem co to za ogień? – zapytałam głosem, który mimowolnie ściszyłam do szeptu.

– To ofiary. Ofiary całopalne – odrzekł.

Miałam wrażenie, że już to wiedziałam, zanim go zapytałam.

– Ofiary z kogo? – dociekałam. Czyż podziwiając te ogniste latarnie, nie zwróciłam uwagi na to, że nad miastem unosi się swąd spalenizny?

– Po co tak wypytujesz?! – wykrzyknął rozwścieczony Kwiatomir. – Oni się sami tam podpalają.

Lecz ja nie mogłam przestać i drążyłam uparcie:

– Ale kim oni są? Czego chcą?

Kwiatomir odwrócił się do mnie plecami i udawał, że ogląda moje książki. Widziałam, że temat rozmowy napawa go wielkim obrzydzeniem, i było mi wstyd, że okazałam się tak nietaktowna. Czułam jednak, że gdybym wyjaśniła tajemnicę ognisk, zrozumiałabym, dlaczego niektórzy wybierają samounicestwienie, jakby był to jakiś przywilej.

Kwiatomir wzruszył pancerzem; wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Pytasz, czego chcą? Wszystko to brednie chorej sekty. Uratować Tainaron – pewnie o to im chodzi. Żeby tainaronianie żyli inaczej, niż żyją. Żeby się przebudzili ze snu – tak mówią. Szaleńcy!

I pogroził pięścią zasnutą mgłami górze, która pochylała się nad miastem.

– Ile jeszcze niewinnych dusz pociągną za sobą na stos?

Wczoraj był kolejny nów. Już wczesnym wieczorem zrobiłam tak, jak mi Kwiatomir przykazał: zasłoniłam okno. Ale gdy weszłam do łóżka, nie mogłam zasnąć; wydawało mi się, że przez zasłony prześwieca czerwony poblask.

Wtedy wstałam, wyszłam na balkon i wysoko w mroku bezksiężycowej nocy od razu dostrzegłam wielkie ognisko. Ani światła Tainaronu, ani barwne neony, ani rozjarzone tarcze zegarów, ani gwiazdy na kolisku karuzeli nie były jaśniejsze od ognia na górze. Płomienie przyciągały spojrzenia jak lampa émy. Nawet z tej odległości ogień mnie oślepił i rozpałał mi twarz.

Ostatnia noc była spokojna, ofiara paliła się równym płomieniem. Jak świeczka na stole – potworna ogniskowa nocy, która może przynieść oczyszczenie. Kim był ten, który płonął tak wysoko, tak niezachwianym płomieniem? Co w swoim mniemaniu wiedział takiego, o czym nie miał pojęcia nikt w dolinie Tainaronu; co więcej znaczyło niż życie, więcej niż jego własne, parujące łzy i poparzone oczy? Czy zobaczył to równie jasno, jak ja widziałam palący się na górze płomień? Stałam ciągle na balkonie i nie mogłam oderwać oczu od ognia, nie znajdowałam dlań ani usprawiedliwienia, ani zadośćuczynienia, ani ukojenia.

Że też mogłam kiedyś patrzeć na tę latarnię jak na kwiat paproci, z radością!

Nie, dopóki się paliła, nie mogłam pójść do łóżka, nie mogłam się do niczego zabrać. Stałam na balkonie, aż ofiara – kimkolwiek była – z płomienia stała się żarem, a z żaru popiołem.

Czy przyjdzie taki nów, kiedy nie trzeba już będzie rozpalać ognia na wysokim wzgórzu?

Ich niezliczone mieszkania

List ósmy

Tainaron pełen jest odgłosów. Nigdzie indziej nie słyszałam czegoś podobnego. Tutaj zaczęłam dostrzegać, że granica między muzyką a językiem nie jest wyraźna. Tainaronianie bowiem wydają z siebie dźwięki, które raz można odbierać jak mowę, a innym razem jak muzykę. Nie chcę przez to powiedzieć, że śpiewają, a przynajmniej nie zdarza się to często. Nie używają też żadnych instrumentów; ich głosy powstają przy współdziałaniu mięśni gruczołów, narządów wewnętrznych i chitynowych pancerzy.

Głos potrafią czerpać z zaskakującej głębi; dochodzi wtedy jak z otchłani i nic dziwnego, że nierzadko trudno ustalić jego źródło. Wielu tainaronian bowiem urządza się w sposób niezwykle oryginalny. Nie słyszałeś pewnie, że czasem przebywają w wielu miejscach, co nie znaczy bynajmniej, że mają, jak my, mieszkania w mieście i domki letniskowe. Nie – tainaronianie potrafią znajdować się w wielu mieszkaniach jednocześnie, niczym w pudełkach, które zawierają coraz to mniejsze pudełka. Najmniejsze mieszkanie – kawalerkę – niektórzy wszędzie noszą ze sobą, pasuje bowiem do ich rozmiarów jak rękawiczka do dłoni. Ma to jednak ten mankament, że nie zawsze można zrozumieć, co mówią, gdyż ich słowa docierają na zewnątrz zniekształcone w czterech ścianach tego jednoosobowego mieszkania przez dudniące echo. Irytuje mnie także to, że niekiedy nie wiem, gdzie przebiega granica między mieszkaniem a jego mieszkańcem.

Biedni są ci, którzy nigdy nie pokazują się innym bez tej osobistej tarczy. Takie zachowanie świadczy o ich przerażającej wrażliwości i kruchości samego życia. Te małe domki potrafią wykonywać z wszelakiego tworzywa: z drobin piasku, z kory, trawy, gliny, z liści... I zaprawdę, chronią ich lepiej, niż innych osłaniają pancerze, chronią z każdej strony, będąc przy tym znacznie bardziej naturalnym przedłużeniem ciała, niż dla Ciebie czy dla mnie są nasze ubrania. I jeśli ktoś je z nich zedrze, umierają – może ze wstydu, a może dlatego, że ich skóra albo jest zbyt miękka i nie wytrzymuje panujących na zewnątrz warunków, albo nie mają jej w ogóle.

Czy można być aż tak okrutnym, by wydrzeć im tę ostatnią tarczę? A przecież się

przekonałam, że takie rzeczy dzieją się tu, w Tainaronie, nieraz się wzdrygałam, słysząc dobiegające z otchłani nocy wrzaski śmiertelnego bólu.

Ale mam własną teorię, dlaczego tak się dzieje. Mianowicie ci, którzy zawsze wloką za sobą swoje domy, pozostają anonimowi. Można zobaczyć ich tylko przez okamgnienie, a i to nie zawsze; cały czas pozostają w ukryciu.

Są też tacy, którzy nie mogą tego ścierpieć, którzy chcą patrzeć każdemu prosto w oczy i otwierać, pokazywać, odsłaniać przed całym światem nagą prawdę... Od czasu do czasu pokusa ta staje się silniejsza i wtedy brutalnie zrywają ostatnie mieszkanie jednego z tych nieszczęśników. Gdy budzi mnie przeraźliwy wrzask, wzdychając, przewracam się na drugi bok – i wkrótce znów zasypiam.

Jak grabarze

List dziewiąty

Nie odpowiadasz. Jest to sprawa, która mnie dręczy niemal bezustannie. Może powody Twojego milczenia są niezależne od Ciebie, a może nie. Lecz ja piszę dalej – przyzwalam sobie na to – i wierzę, i ufam – no, ale dosyć już o tym! Wiele rzeczy przypomina mi o przeszłości, zwłaszcza zaś o miastach, w których żyliśmy kiedyś blisko siebie. Na przykład okno pewnego biura przywodzi mi na myśl witrynę w innym mieście po tamtej stronie zielono-białego Okeanosu.

Był czas, kiedy mijałam je niemal codziennie, lecz nigdy się przed nim nie zatrzymywałam, bo zawsze było takie samo. Za szybą spływała artystycznie udrapowana niebieska zasłona, a przed nią stała kamienna urna i leżał wieniec z kwiatów okolony białą jedwabną taśmą.

Także i tu, w Tainaronie, jest takie przedsiębiorstwo, lecz w jego witrynie nie ma urny, są tylko małe, nadzwyczaj piękne pudełeczka. Poszłam tam pewnego dnia z Kwiatomirem, który z niewyczerpaną cierpliwością dzień w dzień oprowadza mnie po tym mieście.

Umarł ktoś, o kim dopiero się dowiedziałam, że żył i że pozostawał w jakichś stosunkach z Kwiatomirem, być może nawet dość zażyłych, skoro to jemu wypadło zająć się pogrzebem. Poszłam z nim, bo mijając witrynę, często patrzyłam na te małe pudełeczka, i teraz chciałam się im bliżej przyjrzeć. Gdy weszliśmy, w środku nie było nikogo, lecz na półkach okalających pomieszczenie zobaczyłam więcej pudełeczek o najróżniejszych kształtach; niektóre były mniejsze od pudełka zapalek, a największe miały mniej więcej rozmiar książki. Oklejone były wielobarwnymi, doskonałymi materiałami albo pokryte malowanymi lub rzeźbionymi znakami i symbolami, których znaczenia nie rozumiałam. Najbardziej zdumiewało mnie to, że pudełeczka są tak małe. Co prawda wśród tainaronian trafiają się osobniki nikłych rozmiarów, lecz na trumienkę nawet dla najdrobniejszego z tych mikrusów były one zdecydowanie za małe.

– A więc to są urny? – zapytałam Kwiatomira, który przeglądał przy ladzie prospekt reklamowy. – Czy umieszcza się w nich popioły po zmarłym?

– Co, popioły? Nie, tu nie ma krematoriów – odpowiedział. – Umieszcza się w nich jedynie wybrany organ, najczęściej oko albo czułek. Czasem też rodzina decyduje się zachować kawałek skrzydła o pięknym rysunku.

Obracałam w palcach jedno pudełeczko. Było cienkie i delikatne jak bombonierka, wyłożone w środku białym jedwabiem. Przypomniało mi się, że kiedyś w dzieciństwie dostałam takie pudełeczko z łakociami w środku. Było wielkanocne przedpołudnie, pozwolono mi po raz pierwszy wstać z łóżka po katarze oskrzeli. Nadal próbuję odnaleźć w świecie czystość tamtego ozdrowieńczego poranka, jego jedwabistą biel, barwy cukierkowych sreber, baze, pióra przebierańców i tamto słońce.

– Co się dzieje z resztą ciała? – zapytałam zamyślona, ale Kwiatomir nie odpowiedział, bo z zaplecza wyszedł właśnie przedsiębiorca pogrzebowy, wielki, postawny samiec. Zwracał przy tym uwagę nie rozmiarami, lecz barwami: były równie pyszne jak kolorowe, skomplikowane wzory na pudełkach. Pierś mieniła się odcieniami zieleni i cytryny, końcówki czułek zaś miały kolor mandarynki. Pochylił się taktownie, a wtedy buchnęło od niego mocną wonią, którą rozpoznałam dopiero po pewnej chwili: był to bez wątpienia zapach piżma.

Wdał się z Kwiatomirem w rozmowę, którą prowadzono przyciszonym głosem i której ostatnim akcentem było wybranie z półki okrągłego pudełeczka w kolorze trawy z błękitnymi sierpami księżyców.

Gdy przedsiębiorca pogrzebowy obrócił się w stronę kasy, podeszłam do Kwiatomira i zapytałam raz jeszcze:

– Co się dzieje z resztą ciała?

Aż się wzdrygnęłam, gdy na mnie spojrzał; w jego oczach dostrzegłam rozdrażnienie i od razu zrozumiałam, że moje odezwanie się było niestosowne. Mimo to czekałam, aż odpowie.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć? – zapytał.

– Dlaczego nie? Wszystko mnie interesuje – odrzekłam nieco wyniośle. A kiedy on nadal nic nie mówił, dodałam już z prawdziwą ciekawością w głosie: – Czy to jakaś tajemnica?

– W takim razie niechaj będzie – zgodził się Kwiatomir nieco chłodnym tonem. Nieoczekiwanie przystąpił do przedsiębiorcy pogrzebowego i szepnął mu kilka słów, wskazując na mnie głową.

Zagadnięty zmierzył mnie zdziwionym wzrokiem od stóp do głów, po czym znów się skłonił z wyszukaną elegancją i skinął na mnie, bym za nim poszła. Spojrzałam pytająco na Kwiatomira, który burknął:

– No idź, ja tu poczekam!

Przedsiębiorca pogrzebowy zdążył już przejść na zaplecze i czekał tam na mnie w milczeniu, lecz z uśmiechem. Otworzył drzwi, za którymi widniały kiepsko oświetlone stopnie; cuchnęło piwnicą i rybą, jak mi się wówczas zdawało. Zachęcił mnie gestem, bym ruszyła pierwsza, lecz gdy pokręciłam głową, przeszedł obok mnie i zstąpił w ciemność. Choć

moja ciekawość zupełnie już opadła, zaczęłam schodzić za nieznanym coraz niżej po stromych i nierównych stopniach, zzymając się w myślach na swoją próżną żądzę poznania. Im bardziej się zagłębialiśmy, tym silniejsza była moja niechęć, a to głównie z powodu tęjącego odoru. W końcu stanęłam, zamierzając bezzwłocznie wrócić na górę, lecz – o dziwo! – okazało się, że przedsiębiorca pogrzebowy idzie teraz za mną, i to tak blisko, że jego żółta pierś dotyka niemal moich pleców i chmury jego gęstej, piżmowej aury mieszają się z woniami jeszcze bardziej osobliwymi. Nieszczęśliwa schodziłam więc dalej, bo mój przewodnik spychał mnie coraz niżej; robił to, co prawda, bardzo taktownie, lecz z taką nieustępliwością, że nie mogłam się już wycofać.

Ryba się psuje – pomyślałam, lecz smród zgnilizny zaczął zamieniać się w fetor, który, wypełniając mi płuca, przyprawiał o mdłości. Ledwo spostrzegłam, że doszliśmy do dużej, nieopisanie ruchliwej krypty.

Nie widziałam już mojego przewodnika. Zrobiło mi się słabo, oparłam się więc plecami o wilgotną, kamienną ścianę. Uświadomiłam sobie, że znalazłam się w grobowcu. Na ubitej ziemi ścieliły się nieprzeliczone ciała, które były obiektem aktywności tak intensywnej, że niektóre sprawiały wrażenie ciągle żywych. Krzątały się wokół nich dziesiątki istot, które z wyglądu przypominały przedsiębiorcę pogrzebowego, lecz miały stroje – jeśli to w ogóle możliwe – jeszcze jaskrawsze. Im uważniej przyglądałam się temu, co robią, tym bardziej przywodziły mi na myśl nasze chrząszcze grabarze.

Zstałam do tutejszego podziemia. Zapytałam niedawno: „Co się dzieje z ciałem?” – i oto miałam odpowiedź na moje pytanie. Jeden z powszednich, nieuniknionych problemów Tainaronu rozwiązywano tutaj, w tajemnicy przed ciekawskimi przechodniami. I kiedy tak przyglądałam się tej żmudnej pracy, mój wstręt ustąpił miejsca bezstronnej obserwacji, a nawet szacunkowi.

Mówiłam o podziemiu i grobowcu, lecz w rzeczywistości miejsce, w którym się znalazłam, służyło czemuś innemu, bo była to sala jadalna i bawialnia. Krzątające się tutaj stworzenia można nazwać nie tylko robotnicami, lecz również – i nade wszystko – matkami. I zobaczyłam, że przy każdej kłębi się stadko mniejszych stworzeń – ich niezliczone potomstwo. Wykonując pracę, bez której życie w mieście nie byłoby w ogóle możliwe, robotnice karmiły zarazem swoje dzieci. I jeśli nawet sposób, w jaki to robiły, bynajmniej mnie nie zachwycał, gdzie znalazłabym bardziej przekonujący dowód na nierozdzielność zniszczenia i rozkwitu, narodzin i śmierci?

No więc leżały tam zwłoki w tak daleko posuniętym rozkładzie, że nie można było orzec, do kogo ciało należało za życia. Lecz już mnie nie mdliło, mimo że widziałam, jak jedna z matek grzebie w tej kupie gnoju. Stamtąd czerpała pokarm dla swojego potomstwa. Właśnie zatopiła ryjek w cuchnącym ściervie, i proszę! – oto na jego czubku zaśniła ciemna kropla, którą spiło pierwsze dziecko, potem dostało swoją porcję drugie, a potem trzecie; o żadnym nie zapomniano.

Zatem ich pracą było destylowanie z tej zgnilizny czystego nektaru, ze śluzu śmierci czerpanie siły, zdrowia i nowego życia. Czy mogłabym kiedykolwiek potępić to, co się dzieje w tainarońskim podziemiu? Zaiste, prawdziwe to laboratorium, którego osiągnięcia zawstydzilyby najprzedniejszych alchemików, a przecież powstaje w nim tylko to, co tworzy sama ziemia, gdy na wiosnę buduje nowe z tego i na tym, co w jesieni obumarło i zgniło.

– Już się napatrzyłaś? – zapytał ktoś za mną. Obróciłam się i zobaczyłam Kwiatomira, który stał u wylotu korytarza i przyglądał mi się z bólem. Nie wiem, czy doskwierał mu tylko fetor, którego mój nos już nie czuł, czy też prawdziwy smutek. Koniec końców, ledwie co zmarła bliska mu osoba, a ja nie poświęciłam jego uczuciom nawet jednej myśli. Gdy nasze oczy się spotkały, chwycił mnie również szarpiący ból.

Ta dobroć w jego spojrzeniu! Że też jej wcześniej nie dostrzegłam. I tego, że oczy ma takie lśniące czarne, takie świadome i żywe... Choć w rzeczywistości z takim właśnie spojrzeniem już się kiedyś spotkałam, i to niejednym razem. Nie przeraż się – także w Twoich oczach, mimo że są zupełnie inne. Kierowało się ku mnie – czy raczej mnie mijalo – wśród znajomych i obcych, na proszonych przyjęciach, w domach towarowych, w moim domu, w pociągach, na peronach i na wykładach, w sklepach i kawiarniach, i w każde lato pod rozłożystymi lipami w parku, gdzie dla spacerowiczów ustawiono żeliwne ławeczki; i jestem przekonana, że w pewnych chwilach, gdy nie byłam tego świadoma, gościło również w moich własnych oczach.

Pomyśleć, że kiedyś zniknie! To właśnie było niemożliwe, to było nieznośne, choć gdy się odwróciłam i spojrzałam w oczy Kwiatomirowi, trwało w nas nieprzerwanie, i ten osobliwy posiłek, któremu się z boku przyglądaliśmy, nie przybliżał nas ani na jotę do rozwikłania tajemnicy jego spojrzenia.

Milczące lśnienie nieprzebranych skarbów. Pomyśleć, że zgaśnie i utonie w zimnej masie pierwotnej materii, jakby nigdy nie było niczym innym, jak tylko prostą konsekwencją zwilżenia rogowki płynem łzowym...

– Chodź już! – odezwał się Kwiatomir niespodziewanie miękko. I opuściliśmy królestwo zmarłych, już na siebie nie patrząc.

Woźnica

List dziesiąty

Dostałam kartkę z kraju. Nie, nie od Ciebie – to wiemy oboje. Widnieje na niej brązowy posąg liczący dwa tysiące czterysta lat; ale ten, którego przedstawia, jest młodzieńcem. Jego czoło okala zdobiona opaska; włosy skręcają się przy uszach w delikatnie złożone loki. W dłoniach trzyma lejce, a zamiast oczu ma ciemne kamienie, błyszczące, tajemnicze i zdumione.

Lecz ileż skrzy się w nich życia, ileż bogactwa! Trudno mi uwierzyć, że to, co widzę, jest wyłącznie światłem odbitym od kolorowych kamieni. Cóż za zbieg okoliczności, że dostałam tę kartkę właśnie teraz, gdy wysłałam do Ciebie mój ostatni list! Widać bowiem na niej to samo spojrzenie, o którym Ci mówiłam; ono mnie dotyka i rozpoznam je wszędzie.

Ale młodzieniec jest czymś zaskoczony, wyrażają to nawet usta: są lekko rozchylone. Na pewno się nie mylę. Przypominam sobie, że widziałam taką minę na twarzy umierającego człowieka, od którego odłączono już wszystkie przewody; jego oczy były szeroko rozwarte. Obie twarze wyrażają to samo skupienie myśli, które pędzą przed siebie w niewidzialnym wyścigu.

Dlatego jest tak, że chciałabym zapamiętać twarze ludzkie takie, jak twarz tego młodzieńca...

Ślady w kurzu

List jedenasty

Opowiadałam Ci, że w Tainaronie mieszka książę? Ponieważ jestem cudzoziemką, dowiedziałam się niedawno, że mogę uzyskać u niego audiencję. Poprosiłam Kwiatomira, żeby mi poradził, jak powinnam się ubrać na tę okazję i jak się zachowywać na wizycie u księcia. Jego odpowiedź zabrzmiała nijako i nie pomogła mi ani trochę.

– Możesz się ubrać, jak ci wygodnie – powiedział. – I możesz pytać, o co tylko chcesz. –
Dodał jeszcze: – To bez znaczenia.

– Jak to, bez znaczenia? – zdumiałam się. – Idzie się tam ot tak, prosto z ulicy, i mówi księciu, co ślina na język przyniesie?

Ale Kwiatomir nie udzielił mi żadnych dalszych wskazówek, wybrałam się zatem sama. Włożyłam oczywiście najlepsze rzeczy, lecz i tak byłam bardzo zdenerwowana.

Książę mieszka w środku miasta w pałacu otoczonym fosą. Most zwodzony był opuszczony i nigdzie nie dostrzegłam wartowników. Różni osobnicy wchodzili do pałacu i wychodzili z niego, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Dano mi w rękę kawałek papieru – przepustkę; próbowałam ją pokazać kilku przechodniom, którzy – jak sądziłam – należeli do służby pałacowej, nikt jednak nie chciał jej ode mnie wziąć; robiono tylko nieokreślony ruch ręką:

– Nie trzeba!

– Gdzie książę udziela audiencji? – pytałam; dopiero za trzecim razem wskazano mi drogę, ale nie zadano sobie trudu, by mnie tam zaprowadzić. Korytarze, którymi szłam, były puste. Przez niedomknięte drzwi widziałam tambury, komnaty i klatki schodowe, a także nowe krużganki i dziedziniec, na którym urządzono angielski ogród z pawilonami, stawami i mostkami.

Książę przyjmował w wewnętrznej wieży zamku, w donżonie. Dojrzałam go już z daleka z mrocznego korytarza, w którym stukot moich butów na kamiennej podłodze roznosił się z irytującym echem.

Drzwi do pokoju audiencyjnego były szeroko otwarte. W pobliżu nie widziałam nikogo.

Mały salon miał owalny kształt. Pośrodku stało tylko jedno krzesło, siedział na nim książę. Pokój był bardzo wysoki, stanowił przecież wnętrze wieży, i książę wyglądał tak, jakby siedział na dnie studni.

Gdy doszłam do progu, zatrzymałam się, nie wiedziałam bowiem, jak należy się zachowywać. Książę nie wykonał żadnego ruchu, zdawało mi się jednak, że patrzy mi prosto w oczy. Był bardzo stary i kruchy. Światło z wysokich okien padało na jego wypukłą głowę i rozplýwało się wkoło, na skutek czego wszystko sprawiało wrażenie surowe i przygnębiające.

Stałam tak – jak sądzę – bardzo długo, zastanawiając się, co robić. W chwili, gdy już pomyślałam, że książę śpi z otwartymi oczyma, jego przednie odnóże uniosło się w zachęcającym geście, powolnie i uroczyście. Przekroczyłam próg.

– Wasza Wysokość – zaczęłam – przyszłam...

– Tak tak – przerwał mi. – To oczywiste. Może pani pytać, o co chce.

Przygotowałam sobie najróżniejsze pytania: o polityce wewnętrznej i zewnętrznej, o stosunkach handlowych i reformie podatkowej, ale wszystkie wypadły mi z głowy.

– Czy wolno mi zapytać, czy wolno mi zapytać – wyjąkałam – jak pan się czuje?

Natychmiast uświadomiłam sobie niestosowność mojego pytania. Lecz nic innego nie udało mi się z siebie wydusić. Wpatrywałam się w księcia oszołomiona, spodziewając się, że zaraz wstanie i oświadczy, że audyencja dobiegła końca.

Zdumiałam się jednak, że wbrew moim obawom najwyraźniej zamyślił się nad zadany mu pytaniem, jakby było ono wtedy i w tamtych okolicznościach zupełnie na miejscu.

– Jeśli chodzi o zdrowie, nie mogę narzekać – przemówił głosem tak cichym, że musiałam wyciągnąć szyję, aby usłyszeć. – Ale martwią mnie uszy: szumi w nich, czy raczej dźwięczy srebrny dzwoneczek. – I potrząsnął głową tak, że puchowy, niebiesko lśniący kołnierz, który okalał jego szyję, zaszeleścił i zasyczał. – Natomiast w nocy są zdecydowanie za duże. Cały czas rosną, odkąd odeszła księżna, a odeszła w kwiecie wieku trzydzieści lat temu. Nie uwierzy pani, jakie były, kiedy jeszcze tu była. Takie malutkie, tycie!

Wysunął w moją stronę przednie odnóże, którego dwie pokryte cienkimi włoskami wypustki niemal stykały się ze sobą. Spojrzałam na nie z uprzejmym zainteresowaniem i skinęłam głową.

Książę rozparł się w krzesło i mówił teraz donośniej, jak gdyby się rozgrzał:

– Po śmierci księżnej wychodziłem często do miasta *incognito*, w nie swoim pancerzu. Rozkładałem się u wejścia na most i nikogo nie przepuszczałem, ani w jedną, ani w drugą stronę, dopóki się idącemu dokładnie nie przyjrzałem. Lecz księżnej nigdy nie widziałem, a rozpoznałbym ją przecież w każdym przebraniu, nawet gdyby przeszła najgruntowniejsze przeobrażenie – może mi pani wierzyć. W oczach księżnej bowiem utrwaliły się obrazy naszych wspólnych sekretów i właśnie one zdradziłyby ją natychmiast. Lecz strumień przechodniów kotłował się i pienił nurtem obcych wspomnień...

Głos księcia zadrzał. Moim zdaniem audyencja powinna się była zakończyć wcześniej.

Czułam się już zmęczona tym, że stoję przed nim i sama muszę słuchać o jego starczej tęsknocie. Nikt po mnie nie przyszedł; w pałacu panowała taka cisza, jakby oprócz nas nie było w nim nikogo.

– Wie pani, dlaczego o nas zapomniano? – zapytał niespodzianie. Zaskoczył mnie tym „nas”, w jego obecnej sytuacji słowem zupełnie nieodpowiednim, i po co ściszył głos aż do poufałości? – Ponieważ zupełnie ich nie obchodzi, co teraz zrobię, dokąd pójde i co powiem; teraz wszystko jest dozwolone. Rozumie pani? – wyszeptał książe.

– Nie, nie wydaje mi się, Wasza Wysokość – odpowiedziałam niepewnie. Lecz on wygiął przednie odnóże i skinął na mnie, bym podeszła bliżej.

Pochyliłam się i zbliżyłam do niego tak, że poczułam gorzki zapach ziół; wydało mi się też, iż słyszę dźwięczenie srebrnego dzwoneczka, o którym wcześniej wspomniał.

– W rzeczywistości nie jestem już księciem – wyszeptał mi do ucha.

Odchylił się, żeby zobaczyć, jakie wrażenie wywarły na mnie te słowa. Szczerze przyznaję, że w zasadzie żadnego, lecz udałam zdziwienie najlepiej, jak umiałam. Byłam przekonana, że mówi prawdę. Tylko to tłumaczyło pustkę i obojętność, z którą zetknęłam się w pałacu – i jeszcze wcześniej.

– Zauważam, że pani sądzi, iż ja... – zaczął książe posepnie. – Ale proszę się nie martwić, tu bynajmniej nie o to chodzi. Proszę zrozumieć: czas się zmienia, ale to tylko jeden z niezliczonych czasów. Cóż wielkiego, można go zmienić tak, jak się zmienia ubiór. Dzisiaj jeszcze urzęduję w moim pałacu. Lecz często się zdarza, że dzwonię przez dłuższą chwilę i nikt nie przychodzi. Na mojej koszuli są jeszcze herby Tainaronu, ale jakość wina, które mi przynoszą, nie jest już taka jak kiedyś. Cóż wielkiego. Jutro znajdę się na wygnaniu albo moje ciało będzie leżeć tam, w ogrodzie, na małym, drewnianym mostku, przebite świeżo naostrzonymi bagnietami gwardii narodowej.

Wreszcie wstał. Oczekiwałam tego od dawna. Z ulgą sobie uświadomiłam, że audyencja dobiegła końca. Pochyliłam się z szacunkiem. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam w grubej warstwie kurzu, pokrywającej kamienną podłogę baszty, tylko swoje ślady.

Uprzytomniłam sobie z porażającą jasnością, że do donżonu od dawna nikt nie wchodził i również książe nigdzie się stamtąd nie ruszał.

Książe był skończony.

Dzień Wielkiego Mogola

List dwunasty

Nie wiem, po co znowu chwytam za pióro. Przecież nie dlatego, że się spodziewam dostać od Ciebie odpowiedź. Ale chciałabym komuś powiedzieć, że zdarzyło się coś dziwnego, że zaszły jakieś ważne, przykre zmiany i zupełnie nie wiem, z czego one wynikają. Może to coś tymczasowego, może w moim życiu będzie jeszcze tak jak przedtem, może wrócą i tamte dni, które były dla mnie nagrodą.

Nigdzie nie wyjechałam, a jednak miasto jest teraz inne. Ta zmiana mnie nie cieszy. Kiedy wyglądam przez okno, odnoszę wrażenie, że zostało odarte z odzienia. Nie ma tego najważniejszego, tego, co jeszcze tak niedawno dawało mi siłę i radość. Patrzę w ziemię, patrzę w niebo i wszędzie dostrzegam ten sam brak, także w oczach tych, którzy kłębią się na ulicach i w domach towarowych, jakby szukali w witrynach i na ladach zagubionej gdzieś źrenicy. Gdybym wysłała Ci zdjęcia tamtego i obecnego Tainaronu, powiedziałbyś, że nie widzisz żadnej różnicy, i być może tak jest, ale ja wiem, że wszystko jest teraz całkiem inne.

Jeśliby głosy miasta na chwilę umilkły, usłyszałabym może utajony szmer, jakby ze ściany piaskowego dołu obsuwał się mały ziarnisty potok. I ta życiowa siła, która – jak wierzyłam – nie wyczerpie się nigdy, upływa, wysącza się gdzieś ciągle i staje bezużyteczna.

Czy to właśnie nazywają starzeniem się? Czy dostrzegam wszędzie coś, co jest tylko we mnie? I czy to, co wcześniej było dla mnie radosnym otoczeniem, stanowiło wyłącznie odbicie mojego własnego wnętrza? Lecz jak wobec tego mogę w ogóle wiedzieć, czym jest Tainaron. I jaki jest...

Dzisiaj książka, którą otwieram, opowiada o Wielkim Mogole Aurangzebie, okrutnym tyranie. Na górskiej drodze piętnaście jego słoni skoczyło w wąwóz, a na grzbiecie jednego z nich jechała jego ulubiona żona.

„Zdumiewające – pisze Wielki Mogół. – Przyszedłem na ten świat z pustymi rękami, a teraz, odchodząc, muszę ciągnąć za sobą niezmierną karawanę grzechów... Smutek mnie zabija. Zegnaj, zegnaj, zegnaj”.

Zmuszam się do wstania, otwieram drzwi i schodzę na dół, na ulicę. Postanowiłam coś

zjeść, lecz z perspektywy stolika przy kawiarnianym oknie wszyscy przechodnie wyglądają tak, jakby taszczyli ciężary, które, choć niewidoczne, przygniatają ich do ziemi. Napój w filiżance lśni i wkrótce będę musiała go przelknąć; wpatruję się w nią jak w kielich goryczy.

Pod marmurowym stołem tkwią moje nogi, nieporuszone, symetryczne, udo przy udzie. Nie wiem, czy kiedykolwiek odczuwałam w taki sposób ich istnienie. One żyją, a przecież dręczy mnie jakiś palący żal. Moje nogi, moje biedne nogi! O, moje filary, skromne, silne i sprężyste, i wy uschniecie!

Małe dni, małe dni. Kobieta, która w tramwaju wyciąga z torebki grzebień i wbijając go w zmierzwiłone włosy, narzeka:

– Nie daje rady grzebień... nie. Beton mi zżera włosy.

Znajomy, który chwiejnym krokiem idzie naprzeciw w rozpiętym palcie, grożąc mi palcem. Był czas, że biegał od stolika do stolika z rozpaloną twarzą, oświadczając, że jego filozofia to młodość świata. Teraz mówi coś zupełnie, ale to zupełnie innego, lecz ja go nie słucham, jest mi przykro. Młodość świata!

Ileż wydzielamy do otoczenia słów, aby nie spoczęło na nas oko rzeczywistości! Próżny trud! Ten beznadziejnie cienki i dziurawy welon nie zakryje niczego, wijemy się tylko w świetle przeznaczenia. Bez tarczy, bez zbroi, a ciało już się nie stanie na powrót słowem.

Gdy mijam pomnik Wielkiego Mistrza Snu, faluje wokół niego zmęczona pieśń:

*We śnie pozostać, gdy wojna na świecie,
a lepiej jeszcze, wielkim stać się głazem.
Nie widzieć, nie słyszeć – oto szczęście całe.
Nie budź mnie, proszę! mówże szeptem przecie.*

Mój biedny znajomy! Widziałam, jak dłoń mu opadła i jak chwiejnie przekroczył zasrzonioną pustynię rynku i zabarykadował się w budce telefonicznej.

To się wydarzyło tam, nie w Tainaronie, bo tutaj są inne pomniki. Ale dni są równie małe wszędzie i wszystkie mają kształt lejka.

Może i ty to zauważyłeś: przychodzą chwile, kiedy nie chce ci się chcieć, a wtedy patrzysz do wewnątrz i cóż widzisz? Nieprzerwany łańcuch chceń, nieskończoną liczbę siebie, a wszyscy zostaliście nawleczeni na mocną nić pamięci. I ostatecznie nie jesteś niczym innym, jak tylko tą najcieńszą ze wszystkich osnów, która napręża się i drży...

Lecz dziś mijałam rozćwierkane stado wróbli, które umilkły w chwili, gdy poczułam przypływ mdłości; nagle ziemia usunęła mi się spod stóp i znowu sobie przypomniałam, że Tainaron leży na skorupie, cienkiej i kruchej jak ponocny lód.

Szkic

List trzynasty

Gwałciciel dyszał tuż-tuż i dystans między nami zmniejszał się w przerażającym tempie. Wtedy przypomniałam sobie, że to tylko sen i dlatego mam jeszcze jedną możliwość: zebrawszy wszystkie siły, zmusiłam się do oderwania od ziemi i gdy napastnik już miał zacisnąć swoją brudną łapę na mojej kostce, wyrwałam się, muskając stopą pąki korony.

Uratowała mnie niewiara. A nieszczęśnik, który wierzy, że wszystko jest prawdziwe, staje się ofiarą własnego snu.

Dzisiaj przyszło mi do głowy, że wiele, wiele lat temu – chciałoby się powiedzieć: lat pełnych łaski, bo takie właśnie były – wspinaliśmy się kiedyś ulicą wciśniętą między dwa kościoły i wtedy powiedziałaś: „Dusza jest tym, co widzialne”. Czy Ty to jeszcze pamiętasz?

Gdy przed chwilą spojrzałam przelotnie w lustro, znowu wypowiedziałaś te słowa z daleka, lecz równie wyraźnie jak wtedy. Rzadko spoglądam w lustro, ale zawsze jest w nim ktoś, kto daje mi oczy. Siniejąca nasada nosa, w kąciku ust kreska niczym ślad po rylcu. To nie szkic, to kwas powszedniości wytrawia i wykańcza obraz duszy.

Pewnego razu powiedziałaś, wzdychając:

– Kochałbym cię i wtedy, gdybyś była kimś innym.

Jesteś szalony! Jakże mnie przekonało to słowo, jak uspokoiło!

Wczoraj rano przystanąłam przed dużym domem towarowym, bo chciałam tam wstąpić do działu z odzieżą; słońce dopiero weszło ponad dachy Tainaronu. Przystanąłam, ponieważ przypadkiem spojrzałam na swoje nogi, ot tak, po prostu, i na chodniku przede mną wyrosły z nich dwa cieniste drzewa, i obie byłyśmy całkowite; ja i ta inna.

Och, jest we mnie przestrzeń większa niż step, niż sam Okeanos. Nie wiem, gdzie ją złożyć, przed kim roztoczyć. Nie mogę jej pokazać, nie mogę użyć. Jest zbyt potężna na to miasto, a jedno życie jest dla niej zbyt małe. Nikt jej nie potrzebuje, ale dziś unosi mnie w powietrze i każe śpiewać.

Piasek

List czternasty

Dzień wstał niski i chmurny. Przygnębiona wyszłam na spacer sama, bo Kwiatomir ma swoją pracę, o której nie wiem nic; domyślałam się jednak, że prowadzi jakieś interesy.

Chciałam zobaczyć coś, czego jeszcze nigdy nie widziałam, i dlatego skierowałam się ku wschodnim dzielnicom miasta, choć dobrze pamiętałam, że Kwiatomir mnie przestrzegał, bym się trzymała od nich z daleka. Gdy zapytałam dlaczego, odpowiedział tylko, że niebezpiecznie chodzić tam samej.

Ale przecież był środek dnia i szłam szeroką esplanadą, po której obu stronach rosły wysokie i jeszcze zielone topole. Kiedy patrzy się na nie z dużej odległości, przypominają wielkie gałęzie innego drzewa, wyrastające z własnego pnia. Minęłam teatr, na którego gzymsach widniały uśpione, ryjowate kariatydy; budynek ten miał osobliwy urok. Skręciłam w ulicę, przy której są drogie butiki i rozkoszne małe kawiarenki. Często siadałam przy ich czystych stolikach, tym razem jednak się nie zatrzymałam. Spieszyłam się jak na umówione spotkanie.

Doszłam teraz do ulic, których nie znałam. Nie widziałam szyldów sklepowych ani zmyślnie urządzonych witryn. Domy były tu coraz bardziej zamknięte, podniszczone i karłowate. Owładnęło mną przygnębienie i przez jakiś czas szłam przed siebie, w ogóle się nie rozglądając; otrząsnęłam się, czując pod obcasami nierówny żwir. Dopiero teraz spostrzegłam, że ulice w tej części miasta nie zostały wybrukowane ani pokryte asfaltem. Były dziurawe i niemal nieprzejezdne, ale nic nie wskazywało na to, że ruch uliczny tu dociera. Nie ułożono też chodników i do domów prowadziły jedynie kręte zaułki. Po kilku krokach musiałam zadać sobie pytanie: Czy to są domy? Bo czyż nasze domy i domy naszych znajomych, które mijamy, chodząc po mieście, nie mają prostych, solidnych ścian? Czyż dachy nie pokrywa dachówka albo blacha? A czy okna są pozbawione szyb?

Idąc, przypominałam sobie stopnie i ciężkie drzwi o mosiężnych klamkach, dzwoniące w deszczu rynny, kominy z kamienia i blachy, które patrzącemu z okna na poddaszu wydają się ludźmi. A za szybami? Powinny w nich majaczyć białe zasłony, oczy, koty i niewyraźne

sceny z życia w obcych pokojach...

Nie widziałam jednak niczego takiego. Sadybom, które mijałam, brakowało wspomnianych cech prawdziwych domów. Ale najdziwniejsze, że nie miały ani jednej linii prostej. Wszystko się tam krzywiło i krągliło, zawijało wręcz bez śladu precyzji, bez wyraźnych kątów. Sadyby wznosiły się z ziemi i taki też miały kolor, uformowano je bowiem z gliny i błota. Widniały w nich bezkształtne otwory, które miały zastępować okna i drzwi. Gdzie się podziały kolumny i głowice, które w centrum miasta można było podziwiać niemal na każdym rynku? Gdzie przepadły kapiące złotem kopuły i zdobne bogatą mozaiką wnętrza okien? Gestykulujące w niszach posągi z piaskowca? Wysmukłe grzebienie i ostrołuki? Krużganki i kolumnadowe podwórce z kwitnącymi drzewami?

Zrozumiałam wtedy, że istnieją dwa Tainarony, a może nawet więcej, któż to wie... To był Tainaron, któremu brakło tego wszystkiego, co nazywamy kulturą, wszystkiego, co radość i nadzieja, zamożność i ambicja potrafią wnieść ponad ziemię i ozdobić.

Nie mogę powiedzieć, by mi się tam podobało.

Przyspieszyłam kroku. Zamierzałam przejść przez te nieokreślone peryferia miasta możliwie najszybciej i spędzić chwilę na piaszczystej plaży, o której sporo słyszałam. Potem chciałam wrócić do centrum traktem północnym, mimo że jest długi i nudny.

Zrobiło się jaśniej. Ponad skupiskami wygrzebanych w piasku i skale komór i grot błysnął gdzieś promień odbity od chybotałowej powierzchni wody. Gdzieś przed sobą słyszałam nieustanny szmer, jakby ktoś czyścił ziemię wielką miotłą, lecz niczego nie dostrzegłam. Dwa razy zza skalistego wzgórzka dobiegł mnie ciężki odgłos szurania i jakiś syk; byłam pewna, że między kamieniami kryje się jaszczurka albo inny gad. Zobaczyłam tylko dwóch przechodniów: były to małe i drobne wązkopodobne istoty. Ostatnie sadyby, które minęłam, przypominały już tylko niskie pagórki i jamy; mogły dać schronienie najmniejszym i najmniej wymagającym stworzeniom. Wkrótce i one się zapadły, wtopiły w mialki, złocisty piasek, który był piękny, lecz utrudniał marsz, wciskając się nie tylko do butów, lecz także do ust; zachciało mi się pić.

Postanowiłam jednak przejść jeszcze kilka kroków, choć przyznałam w duchu, że wyprawa ta nieszczególnie mi się udała. Przedemną rozpościerały się falujące wydmy piasku. Nie widziałam żadnych śladów miasta. Z piasku biła ta sama prosta surowość, którą emanują śnieżne bezludzia w naszym kraju, urzekające dziewiczością, sennością i pustką.

Kształt jednego z piaszczystych pagórków przypomni mi o saneczkowej górze, która dawno temu wznosiła się na podwórzu domu mojego dzieciństwa. Nagle poczułam ogromne zmęczenie i przyszła mi ochota położyć się na miękkim piasku. Ogarnęła mnie taka senność, że zaczęło mi się plątać w głowie: a jeśli zamrznę?

Zrobiłam kilka kroków do krawędzi pagórka i moją uwagę przykuły nieznaczne wypukłości; z początku prawie nie było ich widać na tle piaszczystej równiny. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam osobliwe wały; różniły się wielkością, lecz wszystkie były

koliste i koncentryczne. Ich wspólnym środkiem była stożkowata jama, symetryczna i bez wątpienia celowo tam wygrzebana, ponieważ forma tak precyzyjna nie mogła być dziełem wiatru ani wody. Te zagłębienia z czymś mi się skojarzyły... Dawno temu musiałam widzieć coś podobnego i czułam niemal fizyczny ból, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie to było.

Za piaszczystym pagórkiem dostrzegłam jeszcze jeden krąg, większy od pozostałych. Gdy się nań wdrapałam, pod moimi stopami piasek natychmiast ożył: tu i ówdzie po ścianach jamy zaczęły się osuwać małe lawiny, bezgłośne potoki i szersze strumienie, których szelestliwa melodia przywodziła na myśl kobiety w sukni z trenem, biegnącą przez zarośla.

Dopiero po chwili zauważyłam, że w głębi jamy jest otwór. W pierwszej chwili wydał mi się niepomernie mały, ale przecież dzieliła mnie od niego jeszcze tak wielka odległość, że w istocie mógł być większy nawet od mojej głowy. Sprawiał wrażenie bezdennej studni. Drobiny piasku, które przy najmniejszym ruchu usuwały mi się spod obcasów, przelewały się w czeluscę po kruchych krawędziach. Stałam w miejscu – jeśli mogę w ogóle mówić o miejscu, bo wokół moich nóg bezustannie coś się działo i nie miałam żadnego stałego punktu oparcia – tak, stałam w miejscu i nie mogłam oderwać oczu od tego okrągłego otworu. Najpierw mi się zdało, że poruszenie, które dostrzegłam, wywołała gra cieni moich rzęs, gdyż kilkakrotnie mrugnęłam. Potem jednak zobaczyłam zupełnie wyraźnie i nie miałam najmniejszej wątpliwości, że w otworze, bardzo głęboko pod piaskiem, coś się poruszyło i ściany jamy zaczęły falować.

Przypuszczam, że w tamtej chwili wykonałam dość niezwykły i jak na moje siły wręcz nadnaturalny skok, ponieważ straciłam grunt pod stopami i poczułam, że spływam z piaskiem w grobową czeluscę otworu.

Z całą pewnością nie wdrapałam się na wał, lecz zrobiłam półsalto, gdyż w następnej chwili byłam już za wałem i patrzyłam na wiechy trawiastej kępy, lekko poruszające się na linii mojego wzroku. Obróciłam oczy do piasku i zobaczyłam matowe kruszyny kwarcu, bordowe granule granitu, pokruszone skorupy brzuchonogów. Chmury się rozpiezchły, piasek zaczął się nagrzewać. Chyba jeszcze nigdy niczemu nie przyglądałam się z tak bliska; złota blaszka miki ukłuła mnie w źrenicę rozpaloną czerwienią żaru.

Padłam na piasek osłabiona strachem; kątem oka zdążyłam dostrzec na krawędzi otworu coś ostrego – pokryty sierścią czy kolcami pazur albo zęb, który zaraz znów pogrążył się w mroku.

Potem wstałam i nogi poniosły mnie z powrotem, lecz nie pamiętam którejdy, nie ma to zresztą żadnego znaczenia. Jeszcze nie spotkałam Kwiatomira, ale nie mam zamiaru opowiadać mu, co mi się dziś przydarzyło.

W tej chwili mogłabym być pusta, niemal jak mrówki, z których larwy mrówkolwa wysysają wnętrzości i płyny życiowe. Pisząc to, odczuwam pewien wstyd, że próbuję w ten sposób Tobą wstrząsnąć, ale przecież taka jest prawda.

Przyglądałam się moim paznokciom i skórze na grzbietach dłoni, wiedząc, że mogły się

znaleźć pośród pokruszonych, suchych skorup, które wyrzuca się za wal, by skruszały na pył i wtopiły się w piasek.

Ale wiatr! Podnosi się i rozrzuca po rynkach Tainaronu pył i piasek, a wydmy robią kolejny krok w głąb interioru. Wysoko ze wzgórza dociera do mnie zgrzyt i widzę obracające się na wietrze pionowe kolisko karuzeli; zgaduję, że i w jego mechanizmach wiruje teraz piasek. Kiedy myślę o szumie, o oceanie powietrza, które faluje wokół anten i wież, porywając do tańca papiery z rynsztoków, przestaję się bać. Szczęście i nieszczęście jednostki pulsują jego regenerującym tchnieniem, będąc li tylko dwoma krokami wielkiego tańca.

Ale czyż nie wróciłam właśnie z plaży? Dlaczego zatem zupełnie nie przypominam sobie wody? Czyżby naprawdę było tak, że nawet na chwilę nie spojrzałam na północ, na szeroki przestwór Okeanosu, bo wydmy pochłoneły całą moją uwagę, tak jak kiedyś pochłonęły miasto Tainaron? Przecież i wtedy mewy musiały przekrzykiwać fale, ale ja w roztargnieniu nie widziałam nic prócz piasku i pazura...

Biały szum

List piętnasty

Czasem, gdy trafiam na ulicy w najgęstszy tłum, wpadam w taką kakofonię dźwięków, że mam ochotę zakryć uszy dłońmi. Ktoś kracze, ktoś bębni, jeszcze ktoś wydaje z siebie strzykania, które łączą się w specyficzną, monotonna melodię. A co powiedzieć o osobliwych muczeniach albo przeszywających wrzaskach, które od czasu do czasu wibrują między domami, odbijając się od ściany do ściany. Rozumiem z nich równie niewiele, co z pokrzykiwań ptaków czy milczenia ryb.

Stan pomieszania, w którym często chodzę po tym mieście, coś mi przywodzi na myśl, każe za czymś tęsknić. Przypominam sobie radiodbiornik, który stał na niskiej palisandrowej półce we wnęce okiennej. Często siadywałam na podłodze przed radiem i słuchałam, niekiedy bardzo długo.

Tak było jednak tylko wtedy, gdy mogłam być w pokoju sama. Kiedy do radia zbliżały się jakieś maluchy, ja znajdowałam sobie inne zajęcie, bo nie lubiłam słuchowisk dla dzieci, konkursów ani relacji sportowych. Dlaczego zatem kręciłam gałkami radia tak długo, że aż czasem matka wpadała w gniew i przychodziła mnie zganić?

W dużej glinianej donicy obok radiodbiornika rósł cień Chrystusa i słuchając, lubiłam dotykać jego grubych koleców: były błyszczące, zdumiewająco ostre i twarde jak kość.

– Przecież słyhać tylko same szumy – powiedział mój starszy brat, wchodząc do pokoju.
– Daj mi spróbować.

I pochyliwszy się nad radiem, ustawił pionowy wskaźnik na stacji, która nadawała muzykę, relacje sportowe albo wiadomości.

– Tego chciałaś posłuchać? – zapytał, a ja, z uprzejmości, jak również w nadziei, że szybciej zostawi mnie w spokoju, rzekłam:

– Właśnie tego.

Ale gdy poszedł, obróciłam się znowu do podświetlonej skali i przetoczyłam czerwoną kreskę przez wszystkie miasta Europy. Słyszałam ich odległe mrużane i śpiewane zaproszenia, ale nie dałam się skusić. Choć nie rozumiałam ich języków, wiedziałam, że

mówi się w nich dokładnie o tym samym, co w naszym. A już wtedy przypuszczałam, że nie można nim wypowiedzieć niczego ogromnie ważnego.

I dlatego nie zatrzymałam się przy żadnym z tych miast, lecz ustawiłam wskaźnik na pustym polu między radiostacjami, w miejscu, z którego nikt nie nadawał. I do takich obszarów, bezludnych i bezdrożnych niczym przestrzeń międzygwiazdowa wciąż wracałam. Wałęsając się po tych dziewiczych krainach, odczuwałam szczęście odkrywcy; czarował mnie bezustanny szum, unoszący się niczym opar nad nienazwanym przestworem. Radioodbiornik wydzieliał go w równym, niemal niezależnym od częstotliwości natężeniu i przypominał mi nektarowy dom tysiący trzmieli. Falował przede mną zasłoną roztańczonego pyłu, będącą w bezustannym ruchu, choć nic się w niej nie zmieniało.

Błądziłam wówczas po lesie, spokojna w swej samotności. Język, którego słuchałam, był tak przesycony znaczeniami, iż kiedyś wręcz poczułam, że narządy mojego ciała przerwały pracę, bym mogła go lepiej zrozumieć.

Gdyby wtedy ktoś mnie zapytał: „No i co to znaczy?“, nie odpowiedziałabym. Bo przecież mogłabym powiedzieć jedynie: „To znaczy wszystko”. I nawet we własnych uszach podobna odpowiedź zabrzmiałaby jak absurd.

A jednak tak właśnie było. Hałas, który tak mnie pociągał, był mieszanką wszystkich języków i dźwięków.

Kiedyś podobna burza zerwała się w innym miejscu. Miałam wtedy gorączkę i stałam w rzędzie uczniów na szkolnym dziedzińcu. Nagle w oczach mi pociemniało, zakręciło się w głowie i zasłabłam. Nie poczułam jednak ziemi, ponieważ w moich uszach i we krwi wezbrał tak szalony potok dźwięków i odgłosów, że rzuciłam się weń jak w morze, w którym jednocześnie żyło „wszystko”.

Od czasu do czasu w szumie radia wyróżniałam także pojedyncze głosy i przywoływałam je do siebie. Nie zawsze mi się to udawało; niekiedy jednak wystarczyło dobrze się wsłuchać i z gęstej dźwiękowej chmury wybijała się jakaś nuta lub szept. Nie były one jednoznaczne, tak że często brała mnie ochota zerwać z radioodbiornika tę kurtynę trzasków i cisnąć ją na bok. Ale nie było to możliwe: dźwięki rodziły się i żyły jedynie w tej mgle, która, rozpraszając się, natychmiast pogrążała „wszystko” w śmiertelnej ciszy.

Pewnego dnia usłyszałam mewy krzyczące nad szkierami, kiedy indziej – szarpnięcie ruszających wagonów. Działo się to gdzieś bardzo daleko i przyznaję, że trochę się bałam.

Wszystko się zmieniało i falowało, cały czas coś się działo. W najmniejszym nawet stopniu nie miałam wpływu na to, co się rodziło i umierało za pokrywającym głośnik statecznym materiałem. Niektóre zdarzenia były przerażające: trzęsienia ziemi obracające w perzynę miasta, zamachy, rozpadające się gwiazdy. Jeden wybuch powodował następny, zdawało się, że echo niekończącej się eksplozji nigdy nie wygaśnie. Miałam wrażenie, że słyszę, jak gdzieś w oddali powstaje materia.

Wtedy znów chwytałam palcami za kolec kaktusa i mocno ścisnęłam jego ostry czubek,

którego twardość była cieplejsza od igły, żywa i mocna.

Jednego razu, siedząc przed radioodbiornikiem, przypominałam sobie, że mam serce i choćbym robiła nie wiadomo co, to serce bije i bije, bez ustanku. I jakby w odpowiedzi przez huragan dźwięków dotarło do mnie bicie innego serca: głucho, równomierne i pewne. Zaczęłam się wpatrywać w materiał, za którym krył się głośnik, lecz on nie falował, tak jak moja pierś, nawet nie drgnął.

A kiedyś znów przypominałam sobie imię, które mi dałeś, i w tej samej chwili ktoś je wypowiedział, lecz tak daleko, że nigdy bym tam nie doszła, choćbym zaraz wyruszyła w drogę.

I gdy w kuchni dźwięczały naczynia, siedziałam już przy stole, jak wszyscy.

Imitator

List szesnasty

Mam tu w Tainaronie balkon, na którym się czasem wyleguję, kiedy jest słońce i nie mam w mieście nic do załatwienia. U was jest już jesień, a my tu żyjemy jeszcze pełnią lata.

Wczoraj słońce było tak ostre, że przymknęłam powieki i zaczęły mi się pod nimi przesuwać płonące krajobrazy. Na kolanach miałam książkę, lecz nie przewracałam kartek. Tu na podwórzu rośnie duże drzewo, którego nazwy nie znam, i płomień słońca zgasł dopiero wówczas, gdy gałęzie złapały go w swoją pułapkę.

Lecz cóż to! Dostrzegłam w dole kamienie – dość duże otoczaki, niejednorodne, szare i czerwonawe; granit, a może gnejs. Wyłożono nimi środkową część podwórza. Kamienie były piękne, lecz nie dlatego na nie patrzyłam. Miałam wrażenie, że teraz było ich więcej, bo ułożono z nich coś w rodzaju pagórka, którego z całą pewnością wcześniej nie było.

Zagadka ta nie dawała mi spokoju, więc gdy na balkon wszedł Kwiatomir, odezwałam się do niego:

– Spójrz tam, pod drzewo. Czy rozumiesz, dlaczego usypano tam tę górkę?

Spojrzał i uśmiechnął się – jeśli można w ogóle uśmiechem nazwać to jego powolne ściąganie szczęk ku tyłowi głowy, do czego nigdy się nie przyzwyczaję.

– Może cię to bawi, że na ciągach komunikacyjnych stawia się najróżniejsze przeszkody, ja jednak nie widzę w tym żadnego sensu – powiedziałam nieco poirytowana.

Kiedy ponownie spojrzałam na kamienny wzgórek, ogarnęło mnie przygnębienie, ponieważ teraz przypominał mi mały grób.

– Nie martw się – powiedział Kwiatomir uspokajająco i położył mi na ramieniu swoje lekkie przednie odnoże. – Widzę, że nie poznałaś jeszcze Imitatora. Jeśli tylko chcesz, mogę was sobie przedstawić.

– A któż to taki? To jakaś osoba? – zapytałam bez cienia radości, chociaż dzień był piękny i do jesieni pozostało jeszcze sporo czasu.

– Właśnie na niego teraz patrzysz – odpowiedział Kwiatomir z uśmiechem.

Nie mrugnęłam, a jednak z moimi oczami coś się stało, bo teraz na podwórzu w cieniu

drzew nie widziałam górki z kamieni, lecz żywą, choć nieruchomą istotę, której grzbiet pokrywał czerwono-szary, guzowaty pancerz.

Chciałam o coś zapytać, lecz Kwiatomir uczynił gest ręką. Trzeba Ci wiedzieć, że Kwiatomir porusza się z przedziwną gracją i elegancją, a ten ruch dłonią był taki, że nie śmiałam mu się sprzeciwić.

– Zobacz teraz! – rozkazał. W cieniu drzewa nie było już niczego ani nikogo, tylko na trawniku pod murem pojawił się okrągły kopczyk, który zielenił się niczym świeża trawa.

– Czy...? – zaczęłam.

– Tak, jest szybki – przyznał Kwiatomir.

– Nie rozumiem – wyznałam zdesperowana. – Czy to jakaś istota? Kto to jest?

– Droga przyjaciółko – powiedział Kwiatomir i spojrzał na mnie, poruszając czułkami – czy naprawdę myślisz, że Imitator ma jakąś tożsamość? Dziś jest tym, jutro tamtym. Jest tym, gdzie jest – przed chwilą był kamieniem, teraz letnią trawą... Kto wie, jaką postać przybierze jutro. Ale chodź, przedstawię was sobie.

– Nie – odparłam, czując, że ogarnia mnie niepojęta wściekłość. – Nie chcę! Nie mam najmniejszej ochoty poznać kogoś takiego. Ze też tacy chodzą po ziemi...

– Ach tak – powiedział Kwiatomir bez cienia współczucia w głosie, wręcz drwiąco. – Chciałabyś, żeby każdy był kimś. Żeby do końca pozostał tym samym, czym był na początku.

– No przecież! Jakaś ciągłość musi być! – wykrzyknęłam. – Rozwój, oczywiście, ale jednocześnie odrobina stałości!

Próbowałam coś jeszcze dodać, lecz moje oburzenie zaczynało się rozplýwać w letnim dniu, który obejmował Tainaron ze wszystkich stron. Po chwili byłam już gotowa bronić nieznanego Imitatora.

– W zasadzie ja go rozumiem – odezwał się z niezwykłą jak na mnie łaskawością. – On szuka swojej prawdziwej postaci.

– Czyżby? – zdziwił się Kwiatomir. Wychyliliśmy się za balustradę balkonu i spojrzeliśmy w dół. Na podwórzu nie było już kopczyka ani z trawy, ani z kamieni, za to przy dużym drzewie pojawiła się druga, znacznie mniejsza i masywniejsza wypukłość.

– Czy on wie, że my tu jesteśmy? – zaciekałam się. – Czy on to robi ze względu na nas, czy dla rozrywki?

– To jego praca – odrzekł Kwiatomir. Nie wiem jednak, czy mówił poważnie.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytał.

– Jakże ja kocham to miasto! – wyznałam. – Kto wie, może zostanę tu na zawsze. (Ze też mogłam coś takiego powiedzieć!).

– Tak, zostań tu na zawsze – zachęcił mnie Kwiatomir, lecz głosem tak mrocznym, że zapomniałam o Imitatorze i zdumiona obróciłam się do niego.

Wielka witryna

List siedemnasty

Pewnego wieczoru, kiedy byłam dzieckiem, znalazłam się na ulicy rzęsiście oświetlonej. Świeciły się latarnie, witryny i reflektory samochodów; stałam przed sklepem z zabawkami. Znasz go, ciągle jeszcze jest w centrum miasta. Musiałeś przechodzić obok niego wiele razy, a może nawet wszedłeś kiedyś do środka, przed Gwiazdką.

Ta witryna! Była oświetlona ze zbyt kowną jasnością i po szybie spływały lśniące krople; nad miastem przeszedł właśnie deszcz i wszystko zrobiło się czyste, dziewicze. Przed lalkami, piłkami i grami, tuż za szybą, leżała spora kolekcja marmurowych kulek, ułożonych w kształt płatków kwiatu: niektóre przezroczyste, inne kolorowe, jeszcze inne białe jak mleko.

Nie miałam nigdy marmurowych kulek i ich blask przykuł moją uwagę; podziwiałam je długo, aż nagle w przestrzeń między nami uderzyła przerażająca świadomość: mama kiedyś umrze.

Gdy poczułam ukłucie bólu, wpatrywałam się właśnie w szczególnie piękną, błyszczącą, błękitną kulkę. I wtedy to się stało: coś się w niej zmieniło. Jej kolor się nie zmienił, wielkość pozostała taka sama i kulka ciągle leżała w tym samym miejscu, a jednak wydała mi się zupełnie inna. Straciła to, co jeszcze przed chwilą czyniło z niej przedmiot pożądania, coś najważniejszego w świecie. Nie przedstawiała już żadnej wartości, była zwykłym bibelotem. I cała witryna przestała mnie interesować – jakby w trakcie przedstawienia zgaszono nagle światła i cały przepych przesłoniła sięgająca po same niebo kurtyna z napisem BANAŁ.

Także ulica, na której stałam, była mi teraz obcą ulicą w dziwnym mieście, a jednak ciągle tkwiłam w tym samym miejscu. Nieokreślona ciekawość pchała mnie do doświadczenia. Chciałam sprawdzić, czy uda mi się sprawić, by szklana kulka znów była taka jak przedtem. Usilnie się w nią wpatrując, zaczęłam rozpraszać gęsty mrok nocy, która – choć niewidzialna – trzymała w swym władaniu wszystko, na co patrzyłam.

Nie chciałam uwierzyć w mrok, powtarzałam sobie, że jest nieprawdziwy. I wkrótce faktycznie przestał być rzeczywisty, zbladł i rozplynał się w powietrzu niczym mgła. I marmurowa kulka znowu zaślniła, znów mnie zachwyciła.

Lecz wtedy zrozumiałam, że całe bogactwo tej witryny, wszystkie perły owego sezamu – to jedynie skromny przedsmak tego, co pewnego dnia samo życie złoży przede mną na wyciągniętych dłoniach – i nie na dwóch, lecz na stu! tysiącu dłoni!

I nigdy nawet na chwilę nie odeszłam sprzed tamtej witryny. Stoję przed nią i patrzę, stoję i patrzę, jak błyszczy, jak gaśnie, jak się znów zapala. Noc w noc, dzień w dzień przez to samo okno raz oglądam piekło, a raz niebo.

Praca mierniczego

List osiemnasty

Z okna mojego mieszkania przyglądałam się dziś pracy mierniczego miasta. Widziałam go już przedtem w innych dzielnicach, sprawującego swoje urzędowe obowiązki, ale teraz, tego ranka, mierniczy pojawił się na naszej ulicy. Mierzył długość i szerokość ulic, średnicę rynków i wysokość domów. Nie wiem, jakiemu celowi to wszystko służy, lecz przypuszczam, że informacje, których dostarcza, są zapisywane w jakichś archiwach i udostępniane zainteresowanym.

Pole jego działalności jest bardzo rozległe i mierniczy pracuje niezwykle skrupulatnie, lecz dysponuje wyłącznie jedną miarą: własnym ciałem – smukłym, zielonym korpusem, którego używa z wielką biegłością; przedtem byłam świadkiem podobnych aktów gibkości tylko na pokazach akrobatycznych. Mierniczy wygina się w wielką pętlę, by w następnej chwili wyprężyć się jak struna, i w ten sposób przebywa spory szmat drogi wzdłuż ulicy. Bez wysiłku wspina się również po ceglanych ścianach po sam okap, nie sprawiając przy tym wrażenia, że ma jakiegokolwiek problemy z lękiem wysokości.

Wracając ze sklepu, postanowiłam skrócić sobie drogę przez park, i tam na ławce zobaczyłam mierniczego, spożywającego posiłek. Na głowie miał ozdobioną emblematem spirali białą czapkę z daszkiem, jaką noszą miejscy urzędnicy. Zapytałam, czy mogę się na chwilę przysiąść. Mierniczy usłużnie zrobił mi miejsce.

– Może się pani poczęstuje? – zaproponował, rozchylając chlebak. Lecz ja już jadłam i grzecznie odmówiłam. Chciałam go zapytać o pewną sprawę.

– Czy ta pańska praca jest interesująca? – rzuciłam, byle tylko coś powiedzieć.

– Szalenie – odpowiedział, żując kanapkę. Za nami na placu tainarońskie dzieci bawiły się w to samo, w co bawią się wszystkie dzieci na świecie: w gonionego – złapani zamieniają się w goniących.

– A czy długo pan się tym zajmuje?

– Odkąd osiągnąłem pełnomierność – odpowiedział mierniczy, nalewając sobie z termosu do filiżanki parującego napoju o słodkim zapachu.

Z katedry dobiegł nas głuchy dźwięk dzwonów, dzieci z placu zabaw zniknęły w cieniu drzew. Zbliżało się południe i zaczęła się sjesta. Wszelki ruch zamarł, słyszałam tylko bicie dzwonów. Miałam wrażenie, że to życie zamarło, odpoczywając, zatrzymując się na chwilę wzorem mierniczego.

Nieustanna kanonada dzwonów nie zagłuszyła jego spokojnego głosu:

– Tę samą pracę wykonywał także mój ojciec, tak jak jego ojciec, dziad i pradziad. Z każdego pokolenia naszego rodu wybiera się nowego mierniczego miasta; teraz ja nim jestem.

Powiedział coś jeszcze, czego nie dosłyszałam, bo od dudnienia dzwonów prawie pękały mi uszy.

Pochyliłam się ku niemu, tak że jego płaska twarz zbliżyła się do moich ust. Teraz usłyszałam jego słowa:

– Jestem miarą wszystkich rzeczy.

Nie powiedział tego jednak tonem próżnym, lecz rzeczowym, strzepując przy tym okruszki z piersi.

– Ale ta dzielnica jest stara – zastanawiałam się na głos. – Czyż nie została pomierzona już wiele pokoleń temu? Cóż jeszcze można w niej mierzyć?

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Cóż jeszcze można w niej mierzyć? – powtórzył. – Ależ wtedy były inne czasy! Inne czasy i inne miary. Przecież ja i mój dziadek nie mamy tych samych rozmiarów. Co też pani przychodzi do głowy!

Wyciągnął z chlebaka duży owoc i wbił weń kilkurzędowy garnitur zdrowych zębów. Nie potrafiłam już nic więcej powiedzieć i czułam, że wyszłam na głupią.

Kiedy z owocu pozostała tylko czysta szypułka, którą wrzucił do kosza z herbem miasta, poderwał się zdecydowanym ruchem i uznał, że pora zakończyć naszą rozmowę.

– Praca wzywa!

Mierniczy – miara wszystkich rzeczy – ruszył energicznie przed siebie, aby czym prędzej przystąpić do swych urzędowych czynności; za postacią coraz bardziej kurczącą się na parkowej ścieżce biegł w zagrabionym piasku prosty, wyraźny ślad. Szedł, jak przystało na męża zaufania, jak przystało na osobę, która wie nie tylko, że wszystko ma swoją miarę, lecz także to, kim jest i co ma robić.

A zaraz po mierniczym ruszył z miejsca czas; na suchą ścieżkę przede mną spadł uschnięty liść – pierwszy liść jesieni; zmieniła się pora roku.

Dzwony przestały bić, lecz miasto grało własną melodię, jak pracowity owad. W wesołym miasteczku na wzgórzu znów zaczęło się obracać jaskrawe kolisko pionowej karuzeli, która w południe znieruchomiała. Widziałam ją z ławki, na której siedziałam samotnie. Widać ją z portu i ze wszystkich rynków i placów – tak wysoko została ustawiona, w pasie wiecznych wiatrów.

Przechodzień

List dziewiętnasty

Gdy dziś rano otworzyłam oczy, ogarnął mnie kłujący niepokój, którego przyczyny z początku nie mogłam sobie uświadomić. Siedziałam długo na brzegu łóżka i nasłuchiwałam. Chociaż dzień już dawno wstał, miasto było milczące, jak gdyby nikt się jeszcze nie obudził – a przecież był to dzień powszedni zwyczajnego tygodnia.

Ubrałam się we wczorajsze rzeczy i nie jedząc śniadania, zeszłam po schodach na ulicę z nadzieją, że spotkam tam Kwiatomira.

Nim jednak zdążyłam otworzyć drzwi bramy, w okrągłym okienku klatki schodowej ukazał mi się zdumiewający widok: chodnik przed kamienicą przesłaniały ciasno upakowane grzbiety, szerokie i wąskie, smukłe i krępe, złączone wspólnym bezruchem, jednakowym ułożeniem, identycznym skrętem.

Od razu przypomniał mi się obraz, który kiedyś widziałam w książce lub w muzeum, tego już nie wiem. Być może i Ty go widziałeś. Uwagę tłumu przykuwa coś, czego nie widać, co leży poza ramami obrazu, może w rzeczywistym świecie. Mnie jednak bardziej niż owo niewidoczne zjawisko i jego obserwatorzy zainteresował stojący w tle mężczyzna, który spoglądał w przeciwną stronę. Czy i Ty go pamiętasz?

A gdy stanęłam na podeście przed bramą – i powiem, że zrobiłam to z ociąganiem, niemal wbrew sobie – stwierdziłam, że na chodniku po drugiej stronie ulicy również zgromadził się pogrążony w ciszy gęsty tłum. Chyba jeszcze nie wspominałam, że bulwar, przy którym obecnie mieszkam, biegnie ze wschodu na zachód. Gdy dziś rano oglądałam go z podestu przed bramą, wydawało mi się, jakby wszyscy mieszkańcy obiegli tę długą i szeroką aleję i stali w milczeniu – takie odniosłam wrażenie – być może już od północy. Zgiełk, który jak opar unosi się zazwyczaj nad taką masą gapiów, oszałamia, lecz ani wściekłość, ani radość tłumu nie podziałyby na mnie bardziej niż jego milczenie.

Jako że tutaj zbliża się jesień, słońce o tej porze dnia zwiesza się jeszcze dość nisko nad wschodnim skrajem ulicy. Zdążyłam jednak zaobserwować, że każdy mieszkaniec miasta stał zwrócony w stronę przeciwną – w to miejsce odległej przestrzeni, gdzie bulwar kurczy się w

mały, żółty kwiat: tam lipy okryły się już jesienną szatą.

Jezdnia była pusta. Często studiowałam artystyczny, kamienny rysunek jej powierzchni, lecz teraz, gdy rozpostarła się przede mną w całej okazałości, gdy nie przechodził nią żaden pieszy ani nie przejeżdżał żaden pojazd – pozostałam prawie obojętna na to niepowtarzalne piękno. W czystym świetle wstającego dnia szyny tramwaju lśniły niczym srebrne odlewy.

Wtedy przyszło mi do głowy, że może Tainaron obchodzi święto narodowe i bulwar został zamknięty dla ruchu z powodu wielkiej uroczystej procesji. Kto wie, może wkrótce zobaczymy samego księcia – jeśli jeszcze żyje – który przejedzie obok zgromadzonych i zechce pozdrowić nas słabym gestem dłoni... A może spodziewano się w mieście wizyty państwowej. I za chwilę środkiem ulicy przemknę konwój limuzyn wiozących dostojnych gości do ratusza na wystawne przyjęcie.

Ale wkrótce musiałam się wyzbyć podobnych myśli. Nic bowiem w tłumie mieszkańców na bulwarze nie wskazywało na wielkie święto. Nie widziałam bukietów kwiatów, balonów ani masek. Dzieci nie dęły w piszczałki, które z przeraźliwym dźwiękiem rozwijają się w długie laski, nikt nie powiewał małą flagą Tainaronu; białym proporczykiem z rysunkiem spirali (albo brzuchonoga – nigdy mi się nie udało wyjaśnić tej wątpliwości).

Wszyscy stali w ciszy, a wschodzące słońce lało na ich pancerne grzbiety tęgi, miedziany skwar.

Nie bacząc na nieprzychylnie spojrzenia, którymi mnie obrzucano, bezpardonowo przepchnęłam się do pierwszego rzędu gapiów i zatrzymałam się w niepewnej pozycji na wąskim krawężniku.

Obok mnie stał błyszczący czarny osobnik, z wyglądu przypominający nurka. Zapukałam głośno w połyskliwy pancerz i spytałam:

– Przepraszam, proszę mi powiedzieć, co to za dzień dzisiaj mamy?

Nurek spojrzał na mnie z wyrazem poirytowania.

– Dziewiętnasty – odpowiedział szybko i niechętnie; po czym natychmiast się obrócił ku zachodowi.

Nie powiem, bym od tego zmadrzała, ale mogłam mieć pretensję wyłącznie do siebie – moment zadania pytania i słowa wybrałam bardzo kiepsko.

Wtedy, drogi przyjacielu, ponad stojącymi gapiami przeszedł jakby podmuch wiatru i wokół mnie zaczęło się nagle pchać tak, że jedną nogą musiałam stanąć w rynsztoku. To mi nie przeszkadzało, w końcu udało mi się zająć dobry punkt obserwacyjny. Bo tam, w zamglonym tunelu lip, zaczęło się coś dziać. Stamtąd posuwał się bardzo powoli dziwaczny pochód, jakaś niezwykle długa i biała formacja, lecz choć długo przecierałam oczy, nie od razu dostrzegłam szczegóły.

Szedł bardzo wolno, wydłużając czas, lecz cal po calu zbliżał się do naszej kamienicy i im lepiej go widziałam, tym bardziej mnie zdumiewał.

Cóż to był za pochód! Nie uświetniały go błyszczące pojazdy ani nie grała orkiestra.

Przeciwnie – zbliżał się do nas w ciszy coraz głębszej, gdyż na szerokim bulwarze Tainaronu milczenie łączyło się z milczeniem, a bezgłośny ruch pochodu stapiał się z bezruchem tłumu. Bez flag i proporców, bez śpiewów i skandowanych okrzyków. Lecz nie miał w sobie również nic z odświętnej powagi konduktu pogrzebowego; nie ubarwiały go kwiaty ani wieńce ze wstęgami, nie chygotały na wietrze kopące płomienie świec.

Kiedy czoło tej taśmy, nieskończenie długiej i zajmującej niemal całą szerokość jezdni, znalazło się na naszej wysokości, daleko pod drzewami ukazały się nowe bataliony. Powiedziałam: bataliony, ale do tej pory nie wiem, czy były to naprawdę jakieś formacje wojskowe. Próbuje Ci tylko zobrazować, co dziś rano widziałam na własne oczy.

Szyk pochodu był tak zwarty, że przypominał węża, w istocie jednak taśma składała się z nieprzeliczonych jednostek. Maszerowano niespiesznie, mogłam więc przez dłuższą chwilę przyglądać się czołu pochodu, które na wzór głowy płaza rozszerzało się i które – chyba zresztą podobnie jak całą formację – pokrywała przezroczysta, nieco połyskliwa błona przypominająca folię celofanową. Wewnątrz błony przesuwały się kolumnami i rzędami małe stworzenia; o ile mogłam się zorientować z mojego punktu obserwacyjnego, wyglądały jak bezbarwne larwy o grubości mniej więcej mojego środkowego palca, tylko odrobinę dłuższe. Gdy na nie patrzyłam, po plecach przechodziły mi lekkie dreszcze, jakie czuje człowiek, gdy wchodzi z zimnego dworu do ciepłego pomieszczenia.

Taśma składała się z dwóch lub może nawet trzech kondygnacji; warstwy niższe podtrzymywały górną, która przemieszczając się szybciej od pozostałych, sprawiała wrażenie przesuwanej się po żywym dywanie. Jeżeli dobrze zauważyłam, larwy z najwyższej warstwy, docierając do czoła taśmy, dostawały się na spód i wtedy one z kolei niosły pozostałe. Dokładne określenie liczby uczestników pochodu było niemożliwe, sądzę jednak, że należałoby mówić raczej o milionach niż o setkach tysięcy.

Patrząc na tę rozkołysaną falę, przypomniałam sobie, że kilka dni wcześniej miałam sen, w którym mój bulwar przemienił się w rzekę. Korci mnie teraz oczywiście, by go uznać za sen proroczy, choć takich nie miewam.

Powiem Ci, że chciałabym zrozumieć naturę milczenia, którym miasto witało przemarsz tej masy. Czy wynikało ono z szacunku? lęku? groźby? Teraz, kiedy wspominam ten poranek, skłaniam się ku temu, że były w nim wszystkie te uczucia i coś jeszcze, czego siłą rzeczy nigdy nie pojmę, ponieważ tutaj jestem obca.

Nagle ja, a także wszyscy dokoła dostrześliśmy, że na środku jezdni pojawiła się drobna postać, jakiś pędrak, który stał jak posąg i wybałuszone oczy wbił w powoli zbliżającą się spłaszczoną głowę węża. Jego bezruch nie pozostawiał miejsca na żadne interpretacje – był to paniczny lęk połączony z katalepsją. Lśniące oleiście w wysokim słońcu wielka głowa, która składała się – jak już mówiłam – z setek mniejszych głów, sunęła po kamiennej jezdni niepowstrzymanie ku nieszczęśliwemu. W tamtej chwili, jak w zatrzymanym kadrze filmu, stałam w miejscu, nie przyszło mi do głowy, że mogłabym wyskoczyć na jezdnię i odciągnąć

go na bok. Uznałam, że pędrak stanie się pokarmem tej żywej taśmy, a w najlepszym razie bezwolną częścią osobliwego pochodu.

A tymczasem gdy leniwe fale tej wielkiej rzeki dotarły do skamieniałego stworzenia – które zdawało się pogrążone w swoistej hipnozie – wielka głowa rozdzieliła się na dwoje i zaczęła omijać nieruchomego pędraka z obu stron, nawet go nie dotykając.

Usłyszałam westchnienie – wielkie, wspólne westchnienie – i głowa węża znów się zespoliła, lecz pośrodku szerokiego nurtu małe stworzenie tkwiło niczym wyspa otoczona z każdej strony kipiłą sunającą powoli połyskliwej masy.

Zastanawiam się, czy ten opis Cię zdziwi. Być może w swoich podróżach natrafiłeś na rzecz równie osobliwą. Tak niewiele opowiadałeś o czasach, kiedy się jeszcze nie znaliśmy...

Ja jednak ciągle jeszcze nie przyszedłam do siebie po wydarzeniach tego ranka. Nawet nie wiem, jak długo stałam tak z jedną nogą na krawężniku, a drugą w rynsztoku, gdy przede mną przewijały się coraz to nowe bataliony, dywizjony, regimenty. Dodam tylko, że (wyjawszy pędraka) nic nie wskazywało na to, iż uczestnicy pochodu widzą nas i obserwują, że my, mieszkańcy miasta (bo i ja przecież jestem w pewnym sensie jednym z nich), w ogóle dla nich istniejemy, nie mówiąc o tym, iż ten wielki przemarsz zorganizowano właśnie ze względu na nas...

Jeśli o to zapytasz, odpowiem: nie wiem. Nie, naprawdę się nie dowiedziałam, co to był za pochód i dlaczego przeszedł przez Tainaron. Skąd przybył i czy zmierzał w jakieś określone miejsce. Możliwe, że czegoś szukał, możliwe, że przed czymś uciekał. Jeśli inni coś o tym wiedzą, jeśli Tobie uda się rozświecić tę sprawę – proszę, powiedz mi, niczego nie skrywając!

Gdy ogon pochodu tak cienki, że jego koniec składał się już tylko z kilku osobników – które same były nadzwyczaj drobne i przezroczyste – wreszcie zniknął za placem, którym na wschodzie kończy się bulwar, tłum rozproszył się z niepojętą szybkością. Rozejrzałam się i oto byłam sama na ulicy, słońce zaś stało w zenicie. Życie wokół toczyło się normalnym trybem, sklepy znów otwarto, a pojazdy poruszały się jezdnią na wschód i na zachód. Jedni spieszili do banków, biur i na tajemne schadzki, inni na zebrania i do domów, żeby przygotować obiad. Lecz pośrodku jezdni – w obu kierunkach aż po kres horyzontu – widać było wilgotną, śluzowatą smugę.

Gdy teraz, po południu, przechodziłam przez ulicę, już nie widziałam tej smugi. Przyschła i zniknęła pod piaskiem i pyłem, który przed zimą tańczy po brukach Tainaronu.

Pytanie króla Milindy

List dwudziesty

Tuż obok mnie, na tym samym piętrze, mieszka niezwykle wiekowa osoba, znacznie starsza od księcia. Niektórzy twierdzą, że przekroczyła już sto pięćdziesiąt lat, inni, jak Kwiatomir, mówią, że ma dopiero sto dwadzieścia pięć, może sto trzydzieści pięć lat. Ale każdy, kto widzi starowinę, rozumie, iż przeżył swój czas, i jest rzeczą niepojętą, wręcz okrutną, że ciągle jeszcze musi mieszkać w Tainaronie.

Staruszek jest tak wysuszony, lekki i skarłały, że jego sługa – a może w rzeczywistości to jeden z jego potomków, kto wie? – każdego ranka wynosi go w torbie lub worku na dwór. Stawia go na parkowej ławce na słońcu i nieco wywija brzegi, żeby starowina miał więcej powietrza, mógł patrzeć na kwiaty i przyglądać się przechodniom. Zostawia go na godzinę lub dwie, po czym zabiera z powrotem na górę. Starowina ze swymi chudymi kończynami wygląda w tej torbie jak wiązka suchej słomy.

Myślisz, że istnieje miejsce, gdzie nie ma starości? Czyżbym spotkała mieszkańca takiego świata, gdy byłam bardzo młoda? I czy przyjdzie spotkać się ze mną jeszcze raz, gdy będę tak krucha, jak starzec z torby?

Dopiero się wtedy przestraszy!

– Droga przyjaciółko! – zacnie biadać. – Musiało się stać coś doprawdy okropnego! Kto cię tak bezlitośnie oszpecił? Gdzie się podziały twoje gęste włosy? Dlaczego poruszasz się tak wolno, taka przygarbiona? Powiedz mi, kto względem ciebie zawinił, a odpowie za to, co ci zrobił.

Dziecinny ignorant! Niechaj od razu wraca tam, skąd przyszedł!

Kątem oka dostrzegłam w worku rozbłysk. Wyglądało to tak, jakby znajdowało się tam lustro. I słoma uniosła się w jakimś znaku – starzec mnie przywoływał. Musiałam wtedy podejść i siąść obok worka, który był bardzo niepozorny, zważywszy na to, że mieścił w sobie sto pięćdziesiąt lat!

Dobiegający z worka głos był tak słaby i ochryply, że z początku nie mogłam nic zrozumieć. Zapytał, skąd pochodzę, i dodał, że on nie urodził się w Tainaronie. I wtedy

zdałam sobie sprawę, że w torbie jest ktoś, kto żyje i pamięta, a po chwili wiedziałam już, że wcale nie jest taki stary. Starość była dla niego jedynie przebraniem, jak niegdyś dzieciństwo. Wiedziałam to tak, jak kiedyś wiedziałam, że pewien brzdąc, krzycząc: „Nie jestem dzieckiem! Nie jestem dzieckiem!”, miał rację. Wiedziałam to, ponieważ i ja nim nie byłam; wiedziałam to, ponieważ usłyszałam pytanie króla Milindy: „Czy ten, który się rodzi, jest tym, który umiera?” – i odpowiedź, która brzmiała ani tak, ani nie.

Teraz drzewa w parku rzucały drżące cienie na lata, które ja przeżyłam i które on przeżył; cienie liści, które trzymały się jeszcze gałęzi, choć już żółkły, by wnet obumrzeć, oderwać się i zniknąć.

Zapytałam, co było dla niego najtrudniejsze w życiu. Worek odpowiedział:

– To, że wszystko się powtarza i zawsze musi powracać i że ciągle na nowo zadaje się te same pytania.

Lecz nim zdążyłam mu zadać więcej tych samych pytań, sługa albo potomek podszedł do nas zdecydowanym krokiem. Uniósł worek jak piórko – czym innym były dla niego wszystkie lata starca – i chrzęszcząc żwirem pod stopami, poniósł go do domu.

Zrobiło mi się gorąco. Zapomniawszy o starcu, ruszyłam wolno w stronę portu. Zobaczyłam tam ten sam biały statek, który pewnego razu przywiózł mnie do Tainaronu, ale po co – tego nie pamiętam.

Nie wystarczają...

List dwudziesty pierwszy

Co u Ciebie? Co się z Tobą dzieje? Twoje nieprzejednane milczenie sprawia, że z wolna zaczynasz się upodabniać do zmarłych lub bogów. To Twoje przeobrażenie nie jest mi bynajmniej wstrętne.

Opowiem Ci wobec tego, co się stało ze mną. Otóż, stało się tak, że ludzie już mi nie wystarczają. Nie wystarczają, choćby byli nie wiem jak wielcy, piękni, mądrzy i skomplikowani. Nie wystarczają, choćby ich czułki sięgały dalej niż promienie radaru, a ich stroje były twardsze od pancerzy.

Dlatego przyznaję, że w tym, co mówię, kryje się niewyrażone życzenie. I wiąże się ono ze wszystkimi moimi czynami, a także z chwilami, kiedy jedynie siedzę i patrzę. Gorące życzenie! Niesłabnące życzenie! Żeby zmarli i bogowie słyszeli. Żeby zmarli i bogowie widzieli. Żeby zmarli i bogowie wiedzieli...

Ale tylko jeden skłonił ich do wysłuchania swojej pieśni. Stał się nieszczęśliwy i rozerwano go na strzępy.

Tej nocy po długich latach wróciłam do Ciebie z bardzo daleka, pokonawszy wiele przeszkód. Na mojej drodze wyrastały barykady i żywopłoty, zasieki z drutu i kopce z kamieni. Pod stopami rozwierały się kratery, przepaście i cuchnące doły. Lecz pędziłam do Ciebie z zawrotną szybkością, leciałam ponad szczytami i czeluściami i śmigałam lśniąca od lodu rynną, która zawiodła mnie prosto pod Twoje drzwi.

Tykanie zegara przenika cały dom, przenika mrok zimowego dnia. Otwierasz mi taki sam jak zawsze. Jakże wielka jest nasza radość! Padamy sobie w ramiona!

Po chwili jednak widzę, że jesteś jakby nieobecny. Oczekujesz czegoś innego, tak, mam rację: nasłuchujesz ponad moją głowę, która przywarła do Twojej piersi. Teraz i ja słyszę dobiegające z dołu kroki.

Twoją twarz rozjaśnia żywy płomień i pytasz:

– Czy one tu przyjdą? Czy już się zbliżają? Czy to nieznane odgłosy?

Nie odpowiadam, bo i tak nie dotarłyby do Ciebie moje słowa. Twoje ręce mnie

wypuściły, a ja wróciłam na tę samą drogę, którą jeszcze przed chwilą pędziłam do Ciebie, drżąc z niecierpliwości.

Dayma

List dwudziesty drugi

Wczoraj rano przyszła mi ochota napić się ulubionego przez tainaronian słodkiego, pianistego napoju, który nazywa się *dayma* lub *daime* i który pije się przez słomkę. Tutejsi mieszkańcy tak bardzo za nim przepadają, że piją go przy każdej okazji, na zimno i na gorąco, prócz nazwy *dayma* mają jeszcze na niego dziesiątki innych określeń. Słyszałam, że w dużych dawkach ma on szczególne działanie i niektórzy po jego spożyciu mogą mieć dziwne, a nawet nieprzyzwoite wizje.

Ja niczego takiego nie stwierdziłam.

Pamiętam pewną małą i przytulną ciastkarnię przy kanale, do której Kwiatomir zaprowadził mnie pierwszego dnia po przyjeździe do Tainaronu. Chciałam spróbować jednego z tych niezwykle kruchych ciasteczek ziołowych, lekkich jak opłatek i pachnących dymem, których, o ile mi wiadomo, poza tą piekarnią nigdzie się nie piecze. Moje pragnienie było tak silne, że aż ślina mi pociekła i musiałam ją przetykać, gdy wspomniałam ich smak na języku.

Ku swojemu rozczarowaniu nie znalazłam odchodzącej od okrężnego bulwaru małej uliczki, przy której była ta ciastkarnia. Wydawało mi się, że idę dobrą drogą, bo skręcałam w te same uliczki, co wcześniej, a jednak, idąc dalej brzegiem kanału, wkrótce znalazłam się w zupełnie mi nieznaney dzielnicy. Wznosiły się tam kamienice i olbrzymie hale przemysłowe, z których roznosił się hałas turbin i wiertarek oraz smród silników spalinowych. Również mieszkańcy wydawali mi się inni: biedniejsi i mniejsi od tainaronian, którzy przesiadywali na tarasie mojej ulubionej kawiarenki. Znalazłam wreszcie ponurą knajpę, w której kiepsko spienioną *daymę* podawano w grubych, pozbawionych uchwytów czarach, a ciasto było gliniaste i ciężkie.

– Chciałabym mieć mapę Tainaronu – zwróciłam się wczoraj do Kwiatomira. – Z większą łatwością mogłabym się sama poruszać po mieście, a ty nie musiałbyś się trudzić, służąc mi za przewodnika. W domu handlowym nie znalazłam ani jednej mapy. Byłbyś łaskaw gdzieś ją dla mnie zdobyć? Czy byłaby taka możliwość?

– Niestety, nie – odpowiedział.

– Dlaczego? Już wszystkie wyprzedano?

– Nie o to chodzi – odrzekł. – Nigdy nie sporządzono dokładnej mapy Tainaronu.

– Jakże to? Nie wydano ani jednej porządnej mapy? Przecież to dziwaczne! – wyraziłam niezadowolenie, mocno zaskoczona.

– Bynajmniej – sztywno odpowiedział Kwiatomir. – Sporządzenie takiej mapy byłoby niemożliwością, przedsięwzięciem wprost niedorzecznym.

– A to dlaczego? – drążyłam jeszcze bardziej zirytowana. – Moim zdaniem państwo, którego nie ma na mapie, nie jest prawdziwym państwem, lecz krainą barbarzyńców, chaosu i anarchii.

– Za mało wiesz o Tainaronie – powiedział cicho. – I my mamy swoje prawa, są tylko inne niż wasze.

Zrobiło mi się trochę wstyd, jednak ciągle jeszcze byłam wzburzona.

– Mapy nie można sporządzić – ciągnął Kwiatomir – ponieważ Tainaron bezustannie się zmienia.

– Wszystkie miasta się zmieniają – zauważyłam.

– Ale żadne nie tak szybko jak Tainaron – odparł. – Wczorajszy Tainaron dziś już nie istnieje. Nikt nie może mieć pojęcia, jak właściwie wygląda. Mapa wywiodłaby jej użytkownika na manowce.

– Każde miasto musi mieć mapę, jakkolwiek – nie ustępowałam.

Kwiatomir westchnął i spojrzał na mnie łagodnym, lecz nieco zmęczonym wzrokiem.

– Chodź! – powiedział i chwycił mnie delikatnie za rękę. – Idziemy!

– Dokąd? – zapytałam.

– Na wieżę widokową – wyjaśnił. – Żebyś zrozumiała.

Wieżę widokową wybudowano na tym samym wzgórzu, na którym stało wesołe miasteczko. Wcześniej jej nie widziałam, ponieważ moją uwagę przykuwało zawsze kolisko pionowej karuzeli. Wspinaliśmy się okropnie długo po wąskich, drewnianych stopniach, które niczym sznur oplatały spiralą zewnętrzną ścianę wieży. Nie przepadam za tak dużymi wysokościami, a poza tym miałam wrażenie, że rachityczna konstrukcja chybotrze na wietrze. Wspinaliśmy się bez końca. Kiedy tak wchodziliśmy coraz wyżej, przed oczami stawało mi kolisko karuzeli; wagoniki, teraz puste, kołysały się i drżały. Kręciło mi się w głowie. Nadal się jednak wspinaliśmy; zaczęłam żałować, że dałam się namówić na tę wyprawę.

W połowie drogi powiedziałam Kwiatomirowi:

– Dalej nie mogę! Zostańmy tutaj. Stąd już wszystko widać aż za dobrze.

Ale Kwiatomir jakby mnie nie słyszał i wchodził coraz wyżej. Chwilami wręcz biegł po stopniach – ostatecznie miał więcej par nóg niż ja. Nawet się nie obejrzał, musiałam więc ruszyć za nim i wspinać się bez końca.

Wreszcie! Stanęliśmy na platformie widokowej. Strasznie kręciło mi się w głowie, więc

nie podeszłam od razu do balustrady. Oczy mnie bolały od wiatru i słońca, które na górze było oślepiające. Próbowалам oddychać głęboko, łykając ślinę i wpatrując się w słoje drewnianych belek podłogi. Powiedziałam sobie, że już nie będę narzekać; przypuszczałam bowiem, że Kwiatomir może uważać mnie za kogoś rozpieszczonego, kogo nie warto nigdzie zabierać, a wcale nie chciałam, by przestał być moim przewodnikiem.

No i miałam nadzieję, że Kwiatomir otoczy mnie jedną ze swoich wąskich i długich kończyn górnych. Lecz on jakby nie widząc mojej słabości, wpatrywał się w roztaczającą się przed nami panoramę wilgotnymi oczyma, które przepełniało – jak mi się zdawało – również poczucie dumy. Zaczął nucić pieśń bez słów, której nigdy przedtem nie słyszałam; jej monotonna melodia i spokojnie falujące obrazy na drewnianych belkach sprawiły, że odzyskałam równowagę.

Zebrałam się na odwagę i spojrzałam w dół. Wspinaliśmy się naprawdę długo, ale mimo to niepomernie się zdumiałam, że jesteśmy tak niesamowicie wysoko. Osłoniłam oczy od słońca i dostrzegłam imponującą równinę Tainaronu, upstrzoną cieniami mknących nad nią chmur. Pomyślałam też, że wieża pewnie jest krzywa, ponieważ horyzont był wyraźnie pochylony. Prosto pod nami widniały malutkie i opustoszałe tego dnia pstrokate namioty wesołego miasteczka. Nawet najwyższe wagoniki pionowej karuzeli zostały daleko pod nami. Hen w oddali połyskiwały stal i szkło, lśniły złota i brązy – to drżące promienie odbijały się od okien drapaczy chmur lub kopuł kościołów. Oto był Tainaron, jego i ich miasto, lecz nigdy moje.

Ale jakże to cudowne miasto! Duma Kwiatomira była zrozumiała. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy z ogromu Tainaronu. Dostrzegłam też dzielnicę stożkowatych budowli; raz ją odwiedziłam jedynie po to, by skąpać się we łzach królowej. Dostrzegłam wówczas korytarze i pagody w pałacowym parku księcia i nieskończony labirynt slumsów na wschodzie.

Byliśmy tak wysoko, że docierał do nas jedynie jakiś nieokreślony zgrzyt – pojedyncze, głośniejsze okrzyki i tajemnicze dzwonienie, które słyszałam również w nocy i którego źródła nigdy nie udało mi się dociec. Brzmiało to tak, jak gdyby ktoś stukał srebrną łyżeczką w szklanekę przed wzniesieniem toastu. Niewiele wyżej panowała już całkowita cisza.

– Tutaj jest wszystko, co mam – powiedział Kwiatomir. – I ty – dodał.

Otaczał nas przybrany wstęgą piany lśniący pas Okeanosu. Horyzont na południu nikał we mgle, lecz na północy było widać wysoką, srebrzącą się w słońcu formację chmur, która w porównaniu z mknącymi nad Tainaronem obłokami stała tak nieporuszona, że przypominała metalową rzeźbę. Jakby ludzkie popiersie.

– Nadchodzi burza? – zapytałam.

– To nie burza – odrzekł. – Coś gorszego. To zima. Chociaż minie jeszcze sporo czasu, nim do nas dotrze. Kiedy nadejdzie, biada tym, którzy jeszcze nie będą spać!

Poczułam, że marznę w pełnym słońcu. Patrzyliśmy w milczeniu na majestatyczną postać ze śniegu i lodu. Moim zdaniem ani się nie zmieniała, ani nie zbliżała do Tainaronu.

– Może tym razem nie przyjdzie. Może zostanie tam, na północy – spróbowałam zażartować, ale z pewną nadzieją w głosie.

– Jest jeszcze taka dziecinna – powiedział Kwiatomir na stronie, jakby na platformie był z nami ktoś trzeci. Potem, zwracając się do mnie, dodał jeszcze: – Nie tylko po to cię tutaj przyprowadziłem, żebyś mogła oglądać zbliżanie się zimy. Patrz!

Kwiatomir wskazał na północny skraj miasta, poniżej chmury, gdzie znajdowało się skupisko niskich i wysokich, różnokształtnych sadyb. To zapewne ból oczu sprawił, że ich kontury wydawały mi się nieostre. Gdy się w nie wpatrywałam, miałam wrażenie, że niektóre zaczęły się ruszać.

– Co tam się dzieje? – zaciekawiałam się.

– Zmiany – odparł.

Rzeczywiście tak to wyglądało. Na równinie pojawiły się wykwyty pyłu. I potem tam, gdzie jeszcze przed chwilą wznosiły się krenelowe wieże i pokręcone kwartały, stały tylko wyszczerzone ruiny. Nie słyszałam jednak huku eksplozji.

– Tamtej dzielnicy już nie ma – powiedział cicho.

– To chyba nie jest trzęsienie ziemi? – zapytałam ze strachem, choć nie czułam żadnych wstrząsów.

– Nie, wyburza się po prostu stary Tainaron – odpowiedział Kwiatomir.

Podniósł palec i wskazał na zachód. I tam dostrzegłam postępujące dzieło zniszczenia, rozpad i zniszczenie, lecz niemal natychmiast na miejsce dawnych budowli zaczęły się wznosić nowe formy, miękko sklepione, ogromne hale, wycelowane w niebo klatki schodowe, pojedyncze spiralne wieże i arkadowe przejścia, które, wijąc się, dochodziły do opustoszałego nabrzeża.

– Ale... – zaczęłam.

– Ciii – przerwał mi Kwiatomir. – Spójrz jeszcze tam!

Spojrzałam. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą biegł prosty bulwar, krzyżowały się teraz wąskie ścieżki. Na moich oczach ich siatkowata grzybnia ogarniała coraz większy obszar.

– I tak przez cały czas, bez końca – powiedział. – Tainaron nie jest miejscem stałym, jak sądzisz. To proces, którego nikt nie mierzy. Na co by się komu zdała kartografia? Byłaby tylko marnotrawstwem czasu i sił. Teraz już rozumiesz?

Nie mogłam nie rozumieć. Tainaron żył tak, jak jego mieszkańcy, i on był istotą, która zmieniała się z każdą chwilą. Uświadomiłam sobie również, że nigdy więcej nie będę się rozkoszować smakiem pachnących dymem opłatków, na które tego ranka miałam wielką ochotę. A mimo to pojęłam tak niewiele!

– Chce mi się pić – powiedziałam, zatęskniwszy raz jeszcze do pianistej *daymy*.

Wisielec

List dwudziesty trzeci

Muszę powiedzieć, że wielu mieszkańców Tainaronu ma osobliwe zwyczaje, dziwne zwłaszcza, dla mnie przybyłej z tak daleka! Bardzo blisko mojego domu, w tym samym kwartale, mieszka pewien osobnik, wysoki i chudy, który wisi głową w dół przez wiele godzin dziennie pod swoim balkonem. Przechodnie, jak się zdaje, w ogóle nie zwracają uwagi na tę dziwną pozycję, ale gdy ja po raz pierwszy pod nim przechodziłam, tak się wystraszyłam, że natychmiast narobiłam rabanu. Sądziłam bowiem, że ten osobnik zawisł wskutek nieszczęśliwego wypadku, zahaczywszy nogą o żeliwny ornament balkonu. Ale Kwiatomir, który szedł wtedy ze mną, wyjaśnił chłodno, że wybrał tę pozycję z własnej woli i zrobiłabym mądrze, gdybym okiełznała przemożną chęć wtrącania się w cudze sprawy. Przyznaję, że poczułam się urażona jego uwagą, ale ostatnio spokorniałam i postanowiłam być w przyszłości ostrożniejsza.

Widzę go niemal codziennie i gdy przechodzę pod jego balkonem, pozdrawiam go, choć on nigdy nie odpowiada. Myślę więc, że albo śpi, albo medytuje. W swej zwyczajowej pozycji jest tak wiotki i lejący, że przypomina wywieszzone na sznurku pranie. Wisi tak głową w dół z niezrównanym spokojem ponad ruchliwą ulicą i nie drgnie nawet, gdy pod nim przejeżdża na sygnale straż pożarna. Zawsze wygląda tak samo: jest jasny, wręcz jaskrawozielony, tak że widać go już z szerokich stopni banku na drugim końcu ulicy, bo wygląda niczym żywy liść na tle czerwonej ceglastej ściany.

Czy coś mu się śni, kiedy tak wisi, często na jednej tylko kończynie, a mimo to całkowicie odprężony? Jestem przekonana, że tak. Z własnego choćby doświadczenia znam bezruch przerażenia i bezruch drapieży, tutaj jednak w grę nie wchodzi żaden z nich. Jestem przekonana, że on śni, śni gwałtownie, intensywnie i ciągle, śni z namiętną pogardą dla śmierci, nawet krzty świadomości nie poświęcając trudom powszedniego życia. Przypuszczam, że już dawno temu nabrał przekonania, że wszelkie działanie jest zbędne, a może wręcz szkodliwe.

Są dni, kiedy myślę, że należy go podziwiać, i że życie, które sobie wybrał, zasługuje na

najwyższy szacunek. Wtedy i ja chciałabym runąć głową w dół we własne objawienia i trwać w tym błogim stanie z takim samym opanowaniem jak on. Nie sądzę jednak, że to możliwe. Każdego wieczoru, choć zamykam szczelnie okna, gaszę lampy i głęboko wsuwam w uszy wate, miasto wdiera się we mnie jeszcze bardziej niespokojne i kolorowe niż w świetle dnia. Wtedy chciałabym wstać i sprawdzić, czy zielona postać ciągle jest tam, pod balkonem. Chciałabym wspiąć się do niego i zawisnąć w takiej samej pozycji. Krew uderzyłaby mi do głowy i cały Tainaron zacząłby się rozplýwać we mgle, a ja zapadłabym w sen, zielony i nieskończony...

Lecz rano, wracając pamięcią do nocnych doświadczeń, gdy zdarzyło mi się błąkać po męczących labiryntach, dochodzę do wniosku, że nie chciałabym spędzić życia w mieście snów. I kiedy przechodzę pod balkonem Wisielca, odczuwam raczej współczucie niż szacunek.

Wtedy sobie uświadamiam, że w snach nigdy nie znajdę takiego światła słońca, że tam wdychane powietrze nigdy nie będzie przenikać moich komórek tak ożywczą siłą i że nie będę widzieć ani tak ostro, ani tak daleko jak tutaj. I wówczas znów nabieram przekonania, że każdy może dostrzec prawdę, każdy.

Opiekunka Dziwaków

List dwudziesty czwarty

Uwielbiam ją i nazywam Królową Trzmieli. Lecz Kwiatomir, mówiąc o niej, używa innego imienia, które należało do dawno zapomnianego świętego: Opiekunka Dziwaków. Królowa Trzmieli rzeczywiście nią jest, gdyż czułą troską otacza tych, których wielu tainaronian uważa za odmieńców i woli ich unikać: ulicznych grajków, żebraków, latawice, najróżniejszych wariatów i lekomanów zagubionych w swoich własnych światach.

Do Królowej Trzmieli przychodzą rozmaici goście w dzień i w nocy. W jej domu zawsze pali się światło, a drzwi nie zamykają nigdy, wychylając się to w jedną, to w drugą stronę – są to bowiem drzwi wahadłowe, które spotyka się czasem w knajpach na dalekiej prowincji. Nie mają progę ani zasuwę. Jeszcze dwie ulice dalej dobrze słychać, że u Królowej Trzmieli zabawa trwa w najlepsze.

Miejsca starczy dla każdego, choć jej dom nie należy do dużych. Nie, jest zupełnie, ale to zupełnie przeciętnej wielkości i z zewnątrz równie skromny jak pozostałe domy na obrzeżach miasta.

Ale czasami, chociaż pęka w szwach od gości, panuje w nim głęboka cisza; wtedy sąsiedzi mówią, że Opiekunka Dziwaków znowu obchodzi Wielki Dzień Wspomnień.

– Kogo wspominają? – zapytałam Kwiatomira. Dowiedziałam się, że nie jest to żadne święto zmarłych: Królowa Trzmieli zbiera wspomnienia, ona nimi żyje i chyba tylko dlatego przyjmuje tylu najróżniejszych gości. Nie zadowala się jednak wspomnieniem byle jakim, przeciwnie – może spożytkować jedynie wspomnienia dobre i przyjemne, skrzące się od radości. I jeśli ktoś próbuje ofiarować jej coś zimnego i posępnego, podobno zostaje bez litości wyrzucony za drzwi.

Kwiatomir powiedział też, że każdy potrzebujący może u Królowej Trzmieli jeść i spać, lecz raz w miesiącu, w ustalony dzień, musi jej dać w zamian przynajmniej jedno dobre wspomnienie. Takiej zapłaty żąda i nie można się targować.

W ów dzień Królowa Trzmieli rozkłada na stole biały obrus i zapala dziesiątki świec, tak że dom wygląda jak na Boże Narodzenie. Talerzy jednak nie stawia, gdyż w Wielki Dzień

Wspomnień jedynym posiłkiem są wspomnienia.

„Te są dopiero pożywne” – mówi Królowa Trzmieli. Wszyscy jej pijacy, wariaci i żebracy muszą się z nią zgodzić, jeśli następnego dnia znowu chcą zasiąść do normalnego posiłku.

– Czy i ja mogłabym kiedyś wziąć udział w Wielkim Dniu Wspomnień? – zapytałam Kwiatomira.

– Wszyscy mogą – odrzekł. – Lecz nie wszyscy chcą. I pamiętaj przygotować jakieś naprawdę dobre wspomnienie.

– Och, tych mi akurat nie brakuje – odpowiedziałam niedbale. I w kolejny Wielki Dzień Wspomnień siedziałam w domu Królowej Trzmieli razem z jej Dziwakami.

Już przedtem coś niecoś słyszałam o tym towarzystwie, tak że usiadłam możliwie daleko od Kieszonkowca (jak gdybym miała przy sobie coś wartościowego!), a jeszcze dalej (choć było mi wstyd) od pewnej złowroźnie wyglądającej, plamistej istoty, której panicznie bali się wszyscy mieszkańcy miasta, nazywając ją Roznosicielem Chorób. Rozglądając się dyskretnie, stwierdziłam, że Dziwacy Królowej Trzmieli wcale nie wyglądają dziwniej od pozostałych mieszkańców Tainaronu, natomiast sama z zażenowaniem zauważyłam, że lustrują mnie ciekawymi, a czasem nawet podejrzliwymi spojrzeniami. Teraz i ja byłam jednym z Dziwaków, może najbardziej rzucającym się w oczy swoją cudzoziemskością. Mnie, która zawsze uważała, że znika niemal w każdej grupie, która wyobrażała sobie, że może przyglądać się innym, pozostając w tle, dano teraz odczuć, co znaczy być cierniem w oku tainaronian.

Królowa Trzmieli siedziała naprzeciw mnie. Toteż gdy ochłonęłam z pierwszego wrażenia, mogłam wpatrywać się w nią do woli, w jej matczyną postać w obcisłym stroju w tygrysie pasy, w jej włochatą ciemną twarz rozświetloną mglistym poblaskiem pręcików wzrokowych.

– Zaczynamy! – zakomenderowała Królowa Trzmieli donośnym basem, który również przywodził na myśl bzyczenie słonecznej łąki. – Psammotettix, pan pierwszy!

Obróciwszy się, dostrzegłam, że pod tym majestatycznie brzmiącym imieniem kryje się szarawy, skromnie, niezgrabnie wyglądający osobnik, który od początku spotkania bezustannie mrucał coś pod nosem. Przypuszczam, że powtarzał swoje wspomnienie, żeby go nie zapomnieć w najważniejszym momencie.

Psammotettix niezwykle szybko zaczął snuć długą opowieść. Prawie nic z niej nie rozumiałam, bo przerywały ją – być może dla wzmocnienia efektu – szczególne pomlaskiwania i burczenia, które w kulminacyjnych momentach – tak przypuszczałam – zmieniały się w chrapliwe krakanie. Zrozumiałam jedynie dwa słowa, ponieważ Psammotettix powtórzył je wielokrotnie: „piana” i „pęcherzyk”, ale to wszystko.

Natomiast pozostali uczestnicy Dnia Wspomnień słuchali opowiadania Psammotettixa z dużym zainteresowaniem, a kiedy skończył, okazywali mu swoje uznanie w najróżniejszy

sposób: stukając połówkami chitynowych pancerzy, bębniąc, połyskując, zmieniając barwy albo głośno łącząc kończyny.

Królowa Trzmieli uniosła młoteczek – czy raczej krótką, w blasku świec połyskującą złotem pałkę – i zastukała kilkakrotnie w stół.

– Przyjęte! – obwieściła, zwracając się w stronę Kieszonkowca i zachęcając go gestem, aby przemówił.

– Byłem raz za granicą – zaczął ciekawym głosem wyraźnie zdenerwowany Kieszonkowiec, lecz przerwało mu wycie pozostałych Dziwaków:

– Nieprawda! Nieprawda!

Wtedy młoteczek zastukał ponownie, hałasy ucichły i Kieszonkowiec wrócił do początku:

– Raz za granicą, w dużym mieście, w poszukiwaniu pracy poszedłem do pewnego centrum handlowego. Było to w wigilię wielkiego święta i w sklepach aż się roiło od klientów, w głośnikach ogłoszenia przeplatały się z muzyką, a całą uwagę kupujących przyciągały błyszczące witryny i głośne prezentacje produktów. Warunki, że tak powiem, były doskonałe i też drugiego tak owocnego dnia chyba nie miałem w całej mojej karierze.

W tym momencie Kieszonkowiec przerwał i przy stole podniósł się pomruk niezadowolenia; zobaczyłam ściągnięte usta Królowej Trzmieli.

– Nie mogę tego przyjąć – oświadczyła, lecz Kieszonkowiec wykrzyknął pospiesznie:

– Nie skończyłem, to jeszcze nie koniec! No więc, kiedy tuż przed zamknięciem centrum handlowego szykowałem się do wyjścia ze swoim łupem, obok mnie przemknęła wytworna dama z kołyszącą się na ramieniu małą, ozdobioną perłami torebką. Wprawnym okiem od razu spostrzegłem, że jej srebrny zamek tylko wygląda na zamknięty, więc błyskawicznie ruszyłem za nią. Zrównawszy się z damą, zrobiłem coś takiego (machnął w powietrzu ostrym pazurem), torebka bezszelestnie się otworzyła i po chwili w swojej siatce miałem już – jak sądziłem – spory zwitek tamtejszej waluty. Lecz oto (i tu Kieszonkowiec uniósł w górę kończynę, domagając się ciszy, ponieważ goście znów zaczęli hałasować) cóż ujrzały moje oczy, gdy w swojej kryjówce zacząłem dokładniej badać zdobycz? Banknoty okazały się cienkimi, zupełnie pustymi karteluskami – z wyjątkiem jednego, na którym było napisane, było napisane...

W tym momencie Kieszonkowiec urwał i zaczął się wiercić na siedzeniu, spoglądając błagalnie na Królową Trzmieli.

– Mów dalej – odezwała się, kiwając zachęcająco głową, lecz to go nie uspokoiło.

– Nie, nie mogę tak przy wszystkich – wydusił z siebie wreszcie, wskazując na siedzących przy stole gości.

– Zapomniał wspomnienia! – rozległ się krzyk, a po nim drugi:

– To wcale nie jest dobre wspomnienie!

– Podejdz tu! – rozkazała Królowa Trzmieli. – Powiedz mi na ucho. Rozważę sprawę.

Kieszonkowiec podszedł do Królowej Trzmieli i szepnął jej parę słów. Wyteżyłam słuch,

ale byłam zdecydowanie za daleko; zrobiłam się zła na siebie, że takie miejsce sobie wybrałam, bo koniecznie chciałam wiedzieć, co też na tej kartce takiego było, że rozgoryczenie Kieszonkowca zmieniło się w dobre wspomnienie.

– Niechaj będzie! – powiedziała, obracając się, Królowa Trzmieli i ku mojemu przerażeniu teraz na mnie spoczęły jej oczy, przy czym soczewki pręcików wzrokowych załśniły dziwną barwą.

Wtedy przydarzyła mi się rzecz zaskakująca: moja przeszłość zniknęła. Rozpłynęła się w milionach innych przeszłości i we wrzawie nieprzeliczonych wspomnień nie potrafiłam odróżnić nic swojego – ani jednego dobrego czy złego wspomnienia.

Było to tak, jakby zawaliły się mury i zniknęły granice, jakby pękły – tak potrzebne – tamy i w zalewającym mnie strumieniu dostrzegłam strzępy dawno zasłyszanych rozmów, dialogi z powieści i filmów oraz wir twarzy i losów ludzkich, kipiący obok mnie niczym wzburzony kilwater.

Udało mi się jednak wszystko to przejrzeć na wskroś i zobaczyć nieporuszoną, majestatyczną twarz Królowej Trzmieli i napotkać jej rozkazujące spojrzenie, w którym pałała iskierka niezadowolenia. W odruchu beznadziei uchwyciłam jedno z wirujących wkoło mnie wspomnień i – o dziwo! – wiedziałam, skąd pochodzi: była to odpowiedź w ankiecie pewnego tygodnika, w której proszono czytelników o wspomnienia z najwspanialszych chwil swojego życia. Modląc się w duchu, żeby zadowolić Królową Trzmieli i aby nikt nie spostrzegł oszustwa, zaczęłam:

– Zdarzyło się to może dziesięć lat temu. Mój ukochany głaskał moją twarz. Wtedy nagle poczułam, że staję się lekka. Przed moimi oczyma otwarły się jakieś drzwi, za nimi był jasny pokój. Tak jasnego pokoju nie widziałam ani przedtem, ani potem. Weszłam do środka. I było mi tak dobrze jak nigdy.

To wszystko. Lecz mówiąc z pamięci, która z fotograficzną dokładnością odtwarzała tekst, kolejne zdania tego krótkiego wyznania, zrozumiałam, że nie dopuściłam się żadnego oszustwa. To, co się zdarzyło tej kobiecie, zdarzyło się mnie: przypomniałam sobie zapach palców ukochanego i to, że było to w pierwszy chłodny, cudowny dzień, który przyszedł po długim lecie.

I oszołomiona nieprzebrany bogactwem swojego życia zamilkłam w oczekiwaniu na stukot złotego młoteczka.

– Przyjęte! – zagrział bas Królowej Trzmieli i w jej twarzy dostrzegłam zawoalowany uśmiech, jakby poczuła właśnie na podniebieniu jakąś niewymowną słodycz. A zatem i moje wspomnienie, mimo że kradzione, włączyła do swego zbioru, do wielkiego zbiornika nektaru, stanowiącego podstawę jej całego gospodarstwa, do plastrów, z których czerpała radość i gościnność i których żaden złodziej nigdy nie opróżni.

Narożnica zbrojówka

List dwudziesty piąty

Pamiętasz entomologa, któremu się zdawało, że zobaczył na ziemi narożnicę zbrojówkę? Ucieszył się i wziął ją do ręki, lecz po chwili stwierdził, że to zwykły spróchniały patyk. Był zawiedziony i oczywiście od razu rzucił go na ziemię.

Ale co sprawiło, że – już odchodząc – schylił się raz jeszcze i odnalazłszy odrzucony kawałek drewna, wziął go ponownie w dłoń? Jak pieczołowicie, z jak bliska musiał go oglądać, nim w końcu zobaczył, że to jednak była narożnica zbrojówka.

Tej nocy ziemia niesie miasto na swych niewzruszonych barkach. Niebo też się nie porusza i domy mają długie korzenie. Wyznaję: Nie wiem, ile razy przygarniałam z powrotem do domu to, co uznałam za bezwartościowe i wyrzuciłam. Pod barwami ochronnymi kryją się prawdziwe kolory i któż wie, które z nich są prawdziwe.

Gdy odsuwam zasłonę, widzę półmroczną ulicę; nic się na niej nie dzieje, lecz w pustce, której nie mącą już teraz żadne stąpnięcia, łączą się niecierpliwość kroku pierwszego i znużenie ostatniego.

Tej nocy w półmroku widzę jak w jasny dzień: daleko i wyraźnie, tak że dostrzegam i ciebie, narożnico zbrojówko.

Brama Zmierzchu

List dwudziesty szósty

Wczoraj poszliśmy z Kwiatomirem do muzeum miasta. Szłam zamyślona przez głośnie hole i korytarze, wypełnione przedmiotami z dawnych czasów: narzędziami, ubiorami i meblami. Z ust Kwiatomira płynął potok dat i imion książąt – jego pamięć jest zdumiewająca! – jednak żaden szczegół nie zapadł mi w pamięć, chociaż miałam okazję dowiedzieć się wielu rzeczy o przeszłości Tainaronu.

Zmęczona zatrzymałam się przed witryną, w której wystawiono tylko jeden przedmiot – jakieś nakrycie głowy. Było czarne, lecz cudnie ozdobione wizerunkami gwiazd, księżyców i słońc. Złote i srebrne nici lśniły tak, że czapeczka – czy raczej piuska – wyglądała jak prosto z igły, ale z etykiety na witrynie wyczytałam, że ma kilkaset lat. Pośrodku miała małą dziurkę.

– Co to za czapka i dlaczego ma w środku dziurkę? – zapytałam Kwiatomira, bo wreszcie coś zwróciło moją uwagę.

– Nazywają ją Bramą Zmierzchu – odpowiedział Kwiatomir ucieszony z okazanego zainteresowania, gotowy od razu się ze mną podzielić swoją obszerną wiedzą. – Dawno temu, gdy mieszkańcy Tainaronu się starzeli i zbliżał się czas ich odejścia, jeden ze spadkobierców podawał im taką właśnie czapkę. Umierający nakładał ją na głowę i to przynosiło mu ulgę w ostatnich chwilach.

– W jaki sposób? – chciałam się dowiedzieć.

– Ta dziurka pośrodku jest bramą wskazującą, w którą stronę ma się udać, aby nie zboczyć z właściwej drogi.

W następnej sali moją ciekawość wzbudził rząd masek. Nie były to maski demonów, które się często ogląda w muzeach etnograficznych, z wyszczerzonymi zębami, o przerażającej ornamentyce, splamione krwią. Zobaczyłam zupełnie zwyczajne twarze mieszczan, nieruchomo wpatrujące się we mnie spokojnymi oczyma, prostymi i złożonymi, z czule wyciągniętymi czułkami. Setki takich samych twarzy widywałam w mieście i to właśnie było najbardziej zastanawiające.

– Do czego one służą? – zapytałam Kwiatomira.

– No tak – odrzekł z pewnym ociąganiem. – Był czas, kiedy w Tainaronie bardzo uroczyście obchodzono święto jesiennej równonocy, kiedy i dzień, i noc trwały tak samo długo. Wówczas cech wyrobników masek miał pełne ręce roboty, świętujący bowiem używali ich aż trzech: pierwsza przedstawiała twarz, kiedy byli jeszcze bardzo młodzi, druga – kiedy ich życie dobiegło połowy, trzecia zaś wyobrażała twarz taką, jaka prawdopodobnie będzie, gdy dożyją starości. Pierwszą maskę zakładano rano, drugą w południe, a trzeciej używano od wieczora do północy.

– A zatem w pewnym okresie dnia maski przypominały ich własne twarze? – Chciałam się upewnić, czy dobrze zrozumiałam. Zwyczaj wydawał mi się dziwny.

– Tak, to był dzień równonocy – odpowiedział Kwiatomir. – Zawierało się w nim całe ich życie.

– A kiedy maski zdejmowano? – dociekałam.

– Dokładnie o północy – odparł. – Przez cały dzień poszczono, ale od północy można było znowu jeść i pić. Niczego nie brakowało i nawet żebracy mogli się przysiąść do każdego stołu.

Wróciłam z miasta późnym wieczorem, kiedy nieboskłon zrobił się czarny jak czapka, którą podziwiałam w muzeum. Lecz za luną świateł miasta przeczuwam obietnicę innych świateł, może równie złudnych jak tamte. I tutaj odległość, jaka mnie od nich dzieli, jest równie oszałamiająca i obca, jak na portowej przystani, gdzie kiedyś staliśmy w ich porażającym blasku, może za długo.

Inna brama zmierzchu nie będzie mi potrzebna.

Badyle w śniegu

List dwudziesty siódmy

Marzniemy i zaglądamy w głąb siebie, mróz bowiem dotknął nas swym tchnieniem i miasto się szykuje do długiego snu. Sezon się kończy, więc mieszkańcy znikają w swoich domach, drzwi się zamyka, ogranicza kontakty. Na ulicach widzi się coraz mniej przechodniów i pojazdów. Każdy zdaje się mieć coś ważnego do załatwienia.

W wielu witrynach widziałam naprędce wykonaną tabliczkę z ogłoszeniem, że sklep jest już zamknięty; zostanie otwarty dopiero na wiosnę. Wieczorami pali się tylko co trzecia albo czwarta latarnia, a później – jak mi powiedziano – lampy będą oświetlać jedynie place i skrzyżowania.

Turystów nie ma. Kto lubi chodzić po pustym, zimnym mieście?

To smutne, smutne. Moim zdaniem właśnie teraz, kiedy słońce pojawia się bardzo rzadko, światła Tainaronu powinny być intensywniejsze i bardziej kolorowe, a tymczasem miasto staje się coraz ciemniejsze i coraz uboższe. Życie zamiera jak ścięta przymrozkiem kałuża. Z oczu nielicznych przechodniów wyziera tylko pragnienie udania się na zasłużony odpoczynek. Ale ja jestem niespokojna, ja chcę żyć! Chcę krążyć po mieście, chcę coś robić tymi bladymi, bezradnymi dłońmi, które widzę przed sobą na stole, chcę rozmawiać o ważnych sprawach, trącać się kieliszkami i jeść.

Za późno! Kwiatomir, gdy mu wspominam o swoich nadziejach, kręci głową i uspokaja:

– Na wiosnę, gdy zima minie.

I widzę, oczywiście, że widzę znużenie w jego czarnych, perłowych oczach, widzę, że i on już by się chętnie zaszył w swym mieszkaniu, ale nie kładzie się jeszcze wyłącznie ze względu na mnie i pewnie dlatego, iż jest tu niejako moim gospodarzem. Zawsze przed spotkaniem z nim postanawiam, że powiem: „Idź już, proszę, idź, nie musisz z mojego powodu pozbawiać się snu, sama dam sobie radę”. Lecz słowa więzną mi w gardle, bo wiem, że kiedy mnie opuści, zostanę sierotą.

Nie widać nawet świetlików, zupełnie zniknęły z obrazu ulicy, i to bardziej niż co innego świadczy o tym, że ciężkie czekają nas czasy. Nawet dom Królowej Trzmieli wygląda, jakby

był zamknięty, i nie mam pojęcia, gdzie się podzieli wszyscy Dziwacy. Ale mijając dziś zaśrubowane okiennice, dostrzegłam w szczelinie uchylonego okna odrobinę światła. Wspięłam się na palce i zajrzałam do środka. Królowej nie zobaczyłam, lecz jej pusty pokój wypełniała ciepła, różowa poświata miodowych plastrów wspomnień. Ich ciepło wystarczy Królowej, choćby przyszła nie wiem jak długa i surowa zima.

Również balkon Wisielca jest pusty i ulica pod nim – bodaj najżywsza z biegnących przez Tainaron arterii – jest wyludniona i wysprzątana. Tylko czasem przemyka nią jeden czy dwóch najwyraźniej spóźnionych przechodniów. Wszędzie jest cicho, tylko w mojej głowie dźwięczą smutne słowa: Żwir i glina! Żwir i glina!

Wysoki przyptyw minął i Okeanos szumi zimową legendę. Chyba już nigdy więcej nie będę toczyć tęsknym okiem po jego wypukłym przestworze.

I gdybym nagle teraz w przedpokoju pod drzwiami znalazła list od Ciebie, wiem, co by w nim było. Napisałbyś: „Dlaczego stamtąd nie wyjedziesz?”

Słyszę, jak mówisz to dość chłodnym, nieco dydaktycznym tonem, zupełnie jakbyś podawał mi coś na talerzu, patrząc w inną stronę. I przyznaję, że kiedyś słyszałam te słowa, sama sobie przecież zadawałam podobne pytanie. Może, gdyby ktoś powiedział tylko słowo, wyjechałabym. Smakuję je w ustach, ileż ma w sobie świeżej czystości.

Miałam swoje powody, przybywając do Tainaronu, i musiały być ważne, a jednak zapomniałam, jaki głos mi nakazał: – „Przyjedź!”

A jeślibym ja teraz powiedziała tak Tobie? Na próżno byś przyjeżdżał, całkiem na próżno, bo mogłabym Ci pokazać jedynie sterczące w śniegu badyle na łące w ogrodzie botanicznym.

Zupełnie jak one sterczą samotnie w tej krainie uśpionych.

Data jak na stemplu

List dwudziesty ósmy

Dziś otwarłam drzwi i stanęłam na wprost Trykonia, który niczym góra wznosił się nade mną ponury i prosty. To jeden ze znajomych Kwiatomira; widywałam go wcześniej tylko przelotnie.

– Proszę wejść – zaprosiłam go do środka. Lecz on stał, kołysząc się w miejscu, a ja nie miałam pojęcia, czego mógł chcieć.

– Spotkał się pan może ostatnio z Kwiatomirem? – odezwałam się wreszcie, ponieważ nie widziałam przyjaciela od wielu dni.

– To on mnie tutaj wysłał – odparł i znowu zamilkł.

– No, co tam u niego? – spytałam już nieco zniecierpliwiona.

– Poleciał mi przyjść i zapytać, czy mógłbym coś dla pani zrobić – wydusił z siebie Trykoń i zaczął się kołysać po jeszcze szerszym okręgu. Myślę, że waży ponad sto kilo.

– Dziękuję, lecz nic mi nie potrzeba – odrzekłam zdumiona. – A gdzie on sam się podział?

– Sądziłem, że pani wie – powiedział Trykoń i nagle przestał się kołysać.

– O niczym nie wiem – zaprzeczyłam, tknięta złym przeczuciem. – Czy coś się stało?

Miałam ochotę wstrząsnąć Trykoniem, który stał i milczał jak grób, ale był za szeroki. Zaczynałam rozumieć.

– Ach, a więc już śpi – domyśliłam się mocno urażona. To nieuprzejme po prostu zapaść w sen zimowy, nie życząc przedtem przyjaciołom nawet dobrej nocy.

– Jest w kokonie – odpowiedział Trykoń, jeszcze bardziej masywniejac.

To był dla mnie wstrząs. Musiałam się pohamować, żeby go nie obrzucić obelżywymi słowami: „Ty kozo jedna! Ty caponiu mglisty! Jak śmiesz!”.

Trykoń poszedł, lecz ja ciągle stałam w otwartych drzwiach. Już nigdy nie spotkam Kwiatomira, tego Kwiatomira, który tak długo i cierpliwie służył mi za przewodnika w tym obcym mieście. A jeśli kiedyś wróci i przyjdzie do mnie, nie wiem, jaki wtedy będzie i kim będzie, nie wiem nawet, kiedy to nastąpi, bo wszyscy tutaj mają swój czas i właściwy

moment, ukryty przed innymi.

Nigdy nie będę mogła się do niego odezwać. On jednak, jakby chciał mi zrobić na złość, pojawił się tuż przede mną, w tym samym miejscu, w którym przed chwilą jeszcze stał Trykoń, i zaczął rosnać tak, jak rosna zmarli.

Wtedy zobaczyłam, że właściwie go nie znałam i chyba nie chciałam poznać. A im bardziej rósł, tym cieńszy i mniej wyraźny się stawał, jego postać rozmywała się w ciemności korytarza, aż w końcu nie miał już ani formy, ani masy.

Tylko oczy – oczy pozostały i pozostało spojrzenie, które było równie czarne i badawcze jak przedtem. I równie niezgłębione. Gdy zajrzałam w mrok tych oczu, zaczęły pomału lśnić niczym dwie gwiazdy, niczym ciepłe od Słońca planety, na których są morza i kontynenty, drogi, doliny, wodospady i wielkie puszcze, gdzie liczni ich mieszkańcy mogą żyć i śpiewać.

Wtedy weszłam do środka i zamknęłam drzwi. Mój smutek zaczął się powoli rozpraszać, bo właśnie zrozumiałam, że choćbym trwała przy nim od początku do końca, i to nie tylko przez jedno życie, lecz drugie i nawet trzecie, i tak bym go nigdy nie poznała. Jego kontury, które kiedyś sama zakresliłam, by móc go zobaczyć i nazwać, teraz się rozmyły, uwalniając wielkiego nieznanego, Kwiatomira, bardziej rzeczywistego niż ten, którego niegdyś znałam: małego i różniącego się od innych.

Takie było moje pożegnanie z Kwiatomirem, a było to dzisiaj – data jak na stemplu – w mieście Tainaron.

Dzwony żałobne

List dwudziesty dziewiąty

Co za dźwięk! Roznosi się nad całym Tainaronem, rozbrzmiewa w kwartałach miasta, aż dzwonią szyby i coś mi gra w piersi. Gdy przyciskam palce do blatu, nawet pod opuszkami czuję dźwięk spiżowych dzwonów. I słyszą go palce u nóg i stopy, pięty nawet, bo podłoga, całe podłoże Tainaronu drży i chybocze w tej podzwonnej kanonadzie.

Zmarł księżę, więc we wszystkich miejskich kościołach, katedrach i świątyniach, choć jest ich tak wiele, biją żałobne dzwony. Grzmią od rana do wieczora, jakby chciały wynagrodzić zmarłemu brak uwagi, której przed śmiercią nikt mu nie poświęcał.

– Co się stało z księciem? – zapytałam Trykonias, bo w wiadomościach o przyczynach śmierci nie było ani słowa.

– Co z nim? Po prostu umarł – odpowiedział Trykoń, kierując powolne spojrzenie w moją stronę. – Wielki czas. Stary już był.

– Lecz czy czas nie był aż nadto stosowny? – dociekałam.

W donżonie pałacu widziałam to, co widziałam: chudą, wyczekującą postać księcia, skuloną na prostym krześle, ustawionym na środku sali, bez adiutantów, bez najniższych choćby rangą gwardzystów. Miał na sobie dwie peleryny – druga była przecuciem zbliżającego się końca. I nie był to koniec naturalny.

– Czy nie nastąpił zbyt raptownie?

– Nie różnił się od innych końców – wymruczał Trykoń jeszcze obojętniej niż przed chwilą.

Cóż za walcowaty, wolnokrwisty rogacz! Jakże Kwiatomir mógł sądzić, że Trykoń go zastąpi w roli przewodnika po Tainaronie!

– Chciałabym wiedzieć, co się teraz stanie – powiedziałam.

– Teraz zmieni się władza – odrzekł Trykoń.

– To oczywiste! – zniecierpliwiłam się.

Tyle przecież sama wiedziałam, ale chciałam, aby ktoś mi wyjaśnił, jak zmiana władzy wpłynie na społeczeństwo i jakie będzie następne kierownictwo Tainaronu. Lecz patrząc na

Trykonia, zrozumiałam, że nie ma sensu dłużej ciągnąć tego tematu. Zdążyłam się już zorientować, że trudno byłoby znaleźć sprawę, która by go mniej interesowała.

Wtedy właśnie Trykoń spojrzał na mnie kątem oka i w jego czarnych, pozbawionych źrenic oczach błysnęła jakby iskierka rozbawienia. Czyżby jednak coś potrafiło go rozbawić? Przez chwilę miałam wrażenie, że się co do niego pomyliłam, że jego obojętność maskuje cechy zupełnie inne, które nie wiedzieć czemu przede mną ukrywał. Próbowałam raz jeszcze dostrzec ten błysk w jego oku, lecz jego spojrzenie przygasło i stało się nijakie. Być może przyczyną złudzenia była wyłącznie zmiana oświetlenia albo mój własny stan wewnętrzny.

– Wybierasz się do świątyni na mszę żałobną? Do której grupy wyznaniowej należysz? – zagadnęłam, chcąc zmienić jałowy temat rozmowy.

– Do każdej po kolei – odrzekł. – Jakżeby inaczej!

– Do każdej po kolei? To chyba nie jest możliwe – zauważyłam zbita z tropu. I w dodatku jeszcze to „jakżeby inaczej” – tego już za wiele.

– A dlaczego nie? – odpowiedział, żując coś w wysuniętych szczękach. – Trzeba dbać o równowagę. W tej chwili należę do świątyni najwyższej prawdy. W przyszłym miesiącu przenoszę się do... no patrz, nie mogę sobie przypomnieć nazwy tego kościoła.

– Ale skoro tam, gdzie teraz jesteś, znają najwyższą prawdę, czy warto ci się przenosić do innego kościoła? – zapytałam.

Milczał i zaczął w skupieniu żuć i połykać jakąś twardą i lepłą substancję, która co pewien czas sklejała mu szczęki. Ciągłe słyszałam dźwięk dzwonów, docierał z daleka i z bliska, rozbrzmiewał nisko i wysoko.

– Rozpoznajesz dzwony swojej świątyni? – dociekałam.

– To na pewno te, które biją bardzo szybko – odrzekł. – Albo te, które dzwonią głucho, a między kolejnymi uderzeniami słycać dwa dźwięczne stuki. Ale nie, posłuchaj, to jednak te wolniejsze, które słycać bardziej na wschód, bijące trzy i raz, trzy i raz.

Na próżno wycęzałam słuch. Nie potrafiłam odróżnić od siebie dźwięków dzwonów, słyszałam tylko dudnienie, w które się wszystkie zwały. Ci tainaronianie! Nigdy ich nie zrozumieć! Zaczyna mnie ogarniać zmęczenie długim tu pobytem, tak, teraz czuję zmęczenie.

Trykoń poszedł, lecz dzwony żałobne nadal grzmiały. Dlaczego więc nie miałabym przyznać, że dręczy mnie dziś nostalgia? Słyszysz mnie? Jestem chora z tęsknoty. Lecz Okeanos zimą zamarza i z portu przed nadejściem wiosny nie wypłynie już ani jeden statek.

Burza targa i szarpie wysokie drzewa na moim podwórzu. Do pokoju wpada ukosem jesienna jasność. Widzę książki i obrazy, starannie wybrane przedmioty; opanowuje mnie spokój i tajemna radość tego miejsca. Dawno temu, właśnie o tej porze roku przed zimą, wszedłeś do mojego pokoju.

Wszedłeś o świcie i nie pamiętam, czy spałam, czy tylko czuwałam. Nie drgnęłam, lecz ty bezgłośnie złożyłeś swe twarde, spierzchnięte od soli wargi na mojej szyi, dokładnie tam,

gdzie pulsowała, a potem przycisnąłeś je do mojej skroni, skąd gorące zsunęły się na powieki, aż wreszcie odnalazłeś me usta i otwarłeś je swoimi.

Wtedy poczułam twój smak, smak twojego pragnienia, i odpowiedziałam, odpowiedziałam i zatkałam.

Kokon, mój dom

List trzydziesty

Jak długo musiałam szukać sobie domu! Otwierały się przede mną pokoje umeblowane i zimne, spadały pod drzwi wymówienia najmu, waliły się z hukiem wyburzane kamienice, a w biurze kwater zawijały się długie niekończące się kolejki w kręte zaułki.

Teraz to już przeszłość. W pokoju, w którym mieszkam, znów mam wszystko, czego mi potrzeba, a nawet więcej: gdy wyjdę na balkon, widzę białe proporce Tainaronu i złote kopuły, opasane chmurami szczyty i błękitny przestwór Okeanosu.

A jednak zaczęłam sobie szykować nowe mieszkanie, na wszelki wypadek. Właściwie prawie mogę się do niego przenieść – do mego małego kokonu, by uniknąć kolejnego niepowodzenia. Ma w sobie ostry zapach błota, alg i trzciny, bo wszystkie składniki zebrałam sama na plaży, gdzie kiedyś stanęłam niemal na progu śmierci. Zrobiłam go własnoręcznie. Gdy zaglądam do środka, odczuwam zadowolenie. Jest w sam raz dla mnie, jak dobrze skrojona suknia, która nigdzie nie uciska. Z zewnątrz niewielki, lecz wewnątrz obszerny, akurat taki, jakie powinno być dobre mieszkanie.

Panuje w nim ciemność. Gdy do niego zaglądam przez jedyny otwór, który w razie potrzeby będę mogła zamknąć od wewnątrz, ogarnia mnie przemożna senność. Nie sędzę, by mi przeszkadzała ciasnota, bo kiedy się do środka wśliznę, stanie się przestronny jak noc.

Poczta jeszcze przez jakiś czas będzie funkcjonować – tak słyszałam – lecz miasto już teraz wygląda jak wymarłe. Coraz liczniejsi mieszkańcy zapadają w sen zimowy, niektórzy – jak Kwiatomir i prędzej czy później może ja sama – będą nieobecni znacznie dłużej. Przed chwilą mówiłam o śnie, jednak będziemy nie tylko spać, ale również przechodzić przemianę. Czy potrafię? Czy to trudne? Czy przynosi ból, czy rozkosz? Czy to znaczy, że znika wszelki żal?

Niektórzy zmieniają się niepostrzeżenie, pomału, inni – odwrotnie, lecz zmieniają się wszyscy. I dlatego na próżno pytać, czyj los jest lepszy.

Cały pokój cuchnie jak żuława! Było coś jeszcze, co miałam Ci powiedzieć, lecz odór bagniska maści mi w głowie. Przypomnę sobie na wiosnę, która przyjdzie niedługo, niedługo,

ta siedemnasta wiosna, i wszędzie dokoła zaśnie krople! I wstanę, i znów się zobaczymy...